№ 2. Warszawa, 7 stycznia 1922. Cena 80 mk. Rok III.

TYDZIEŃ POLSKI

Wobec zagadki rosyjskiej.

Kwestja rosyjska znowu wysunęła się na czoło zagadnień polityki międzynarodowej. Nawiązanie stosunków handlowych z Rosją, uznanie rządu Sowietów, ewolucja bolszewizmu, odbudowa Rosji, — wszystkie te sprawy są usilnie dyskutowane i w prasie, i w sferach rządowych, i na konferencjach międzynarodowych.

Kwestja rosyjska specjalnie będzie omawiana na konferencji w Cannes, gdzie prawdopodobnie na porządek dzienny wypłynie projekt odbudowy ekonomicznej Rosji wspólnemi siłami Anglji, Francji i Niemiec. Przez otchłań rosyjską ma być zatem rzucony most, prowadzący do porozumienia Ententе'y z Niemcami.

Zbędnem jest rozwodzić się nad tem, jak doniosłe znaczenie mają dla nas zachodnie projekty rozwiązania kwestji rosyjskiej. Projekty te o tyle mają wartość realną, o ile opierają się na dokładnej znajomości stosunków rosyjskich i zrozumieniu ewolucji dziejowej, jaką przechodzi obecnie b. państwo carów.

Otóż trzeba stwierdzić, że ewolucja ta w chwili obecnej, nie zważając na obfitość rozmaitych informacji z Rosji — sprawozdań specjalnych delegatów, korespondencji prywatnych, opowiadań osób uciekających lub legalnie przybywających z Sowdepji i materjałów ze źródeł sowieckich, — pozostaje wielką zagadką. Sfinks rosyjski nigdy nie miał bardziej zagadkowej postaci jak teraz, gdy dla wszystkich jest oczywistem, że system komunistyczny ostatecznie zbankrutował, że rząd komunistyczny, który wyrzekł się celów komunistycznych i stawia przed sobą zadanie kapitalistycznej odbudowy kraju, może chwilowo jeszcze siłą inercji zachować władzę, ale w najbliższym już czasie musi, albo zmienić się do niepoznania, albo ustąpić miejsce nowym czynnikom, że jednem słowem okres „choroby czerwonej“ dobiega już kresu.

Choroba czerwona kończy się, a chory nie umarł, to jest faktem, ale, *jakim* wstanie chory z łoża niemocy, — to jest zagadką.

Czy chory po przesileniu prędko wróci do dawnego stanu zdrowia i siły, czy też po danej chorobie nastąpią rozmaite komplikacje, które długo jeszcze będą trawiły wyniszczony organizm? I jeżeli chory wróci do zdrowia i siły, to czy będzie jednakże takim, jakim był przed chorobą? Czy choroba ta przejdzie, nie zostawiwszy głębszych śladów, czy też być może zmiany w organizmie, które zaszły w czasie przesilenia, są tak głębokie, że właściwie mamy przed sobą jakby nowy organizm? Czy ciężki stan przesilenia był tylko chwilowem zakłóceniem życia organizmu, — zakłóceniem, po którem wszystko powraca do dawnego stanu, czy też zmianą w organizmie samym, przerodzeniem się tkanek, po którem już nie ma powrotu do dawnego?

Wszystkie te — zagadnienia, na które w odpowiedzi mamy tymczasem tylko hypotezy — hypotezy, zależne nietylko od materjału, jakim rozporządza obserwator życia rosyjskiego, lecz także od jego poglądów.

Nie kusząc sie o rozwiązanie tego trudnego problematu, chcę w ramach niniejszego artykułu sprecyzować niektóre hypotezy o Rosji przyszłości.

Jeszcze w zimie 1918 r. wkrótce po przewrocie bolszewickim na łamach „Echa Polskiego“, wydawanego w Moskwie, wypowiedziałem hypotezę, która później znalazła dość szerokie rozpowszechnienie w koncepcjach przyszłej Rosji.

Pisałem mianowicie, że Rosja powstanie z gruzów, jako państwo włościańskie; rewolucja bolszewicka, zostawiwszy po zniszczeniu burżuazji i proletarjatu silne włościaństwo, zrealizuje program agrarny Stołypina. Oparta o drobną burżuazję wiejską, pozbawiona wielkiego przemysłu i dawnych klas rządzących, Wielkorosja nie będzie mogła odbudować dawnego imperjum Wszechrosyjskiego (imperjum Piotra W.), będzie jednakże dążyła do sfederowania z dawnemi częściami im-

perjum. Dalszy przebieg wypadków i rozwój rewolucji rosyjskiej utrwaliły mię w przekonaniu o słuszności tej hypotezy. Nie będę jednak tu na jej poparcie powtarzał argumenty, które już przytaczałem w „Tygodniu“ *), zaznajomię natomiast czytelnika z inną hypotezą co do przyszłości Rosji. Hypotezę tę niedawno wykładał mi świeżo przybyły z Rosji inteligentny obserwator życia w Sowdepji, umiarkowany socjalista ze szkoły Plechanowa. Należy on do obozu antybolszewickiego, ale nie podziela żadnego z programów emigracji rosyjskiej, zmierzających do obalenia rządu sowiętów. Siłę zdolną obalić bolszewizm widzi nie w tych czynnikach które dotychczas go zwalczały, nie w inteligencji, nie w armji białej i nie we włościaństwie, lecz w tej nowej burżuazji, którą wyłonił ustrój sowiecki. Nowa klasa posiadająca, która powstała dzięki rządom bolszewickim, która nagromadziła wielkie fortuny drogą paskowania, kradzieży i grabieży, która rekrutuje się z paskarzy, łapowników sowieckich, czekistów i bandytów, teraz zdaniem mojego znajomego, chce utrwalić swój stan posiadania, chce porządku prawnego, który pozwoliłby utrzymywać i rozwijać zdobyte bogactwa, chce warunków, w których mógłby rozwijać się handel i przemysł. Nowy kurs w polityce ekonomicznej sowietów jest pierwszym zwycięstwem sowieckich burżujów lub „sowburów“, jak ich nazywają w Rosji.

Lecz tem zwycięstwem nowa burżuazja nie zadowolni się, zażąda norm prawno-politycznych odpowiadających nowej treści życia ekonomicznego, stworzy nadbudowę polityczną na fundamencie nowych stosunków ekonomicznych. A tą nadbudową może być tylko ustrój liberalno-konstytucyjny współczesnych państw kapitalistycznych.

Nowa burżuazja nie chce restauracji dawnej Rosji, nie chce naturalnie powrotu dawnej burżuazji z jej prawnymi tytułami własności, ale dla swojej nakradzionej własności chce prawnych tytułów. Stosnnek jej do dawnej burżuazji, która wyemigrowała zagranicę, jest ten sam, co stosunek chłopa do obywatela, którego ziemię zagarnął.

Większość emigracji rosyjskiej pogodziła się już z tym faktem, że restauracja dawnych stosunków agrarnych jest niemożliwą, że ziemia musi pozostać w rękach włościan, a dawni jej prawni posiadacze w najlepszym razie powinni zadowolnić się wykupem. Ale okazuje się, że tę samą zasadę trzeba rozciągnąć i na miasta, na fabryki, sklepy, domy, wszelką własność ruchomą i nieruchomą. Nowa bowiem burżuazja nie da wydrzeć sobie swego stanu posiadania, jest ona silniejszą i żywotniejszą od starej burżuazji rosyjskiej, która tak łatwo kapitulowała i ustąpiła na całej linji bolszewikom.

Nowa burżuazja, która tworzyła swoje fortuny w najtrudniejszych warunkach, w ciągłej niepewności jutra, pod nieustanną groźbą rozstrzału jest śmiałą, przebiegłą, niczego się nie boi, przed niczem się nie cofnie. Za tą burżuazją pójdzie robotnik rosyjski, który słyszeć nie chce nie tylko o komuniźmie, ale i o socjaliźmie, który ma dość opieki państwa i głodnych „pajków“ i któremu nowy przedsiębiorca daje nadzieję obfitych

*) Por. artykuły: „Nowa Rosja“ („Tyd. Pol.“ № 6, 1920 r.) i „Co znaczy odbudowa Rosji“ („Tyd. Pol. № 14 1920 r.).

IRLANDZKA LIRA WERNYHORY.

I.

„Herb Irlandji stanowi złota harfa ze srebrnemi strunami w polu niebieskiem“ (Encykl. Orgelbranda, tom V).

„Liro żebracka! — słyszałem i słyszę
Twój głos... przez lasy lecący brzozowe,
I robię w moich myślach dziwną ciszę,
Aby cię słyszeć... Ty miałaś perłowe
I wydeptane palcami klawisze,
Po których pieśni chodziły stepowe,
I w twoje łono, pochylając czoła,
Szły smętne, jak do starego kościoła.
Nie palce ciebie, liro, wydeptały.
Ale te pieśni ciężką nogą ducha,
Który wywraca potem zamki, skały
I naród gotów oderwać z łańcucha,
Taki jest silny — i taki wspaniały,
Gdy się obudzi z grobu i wybucha...“

Beniowski — Pieśń VI.

Nad ranem 6 grudnia 1921 roku o godzinie 2-ej minut 20, w historycznej komnacie w której Anglja już raz zrzekła się suwerennych praw nad dzisiejszą potężną republiką Zjednoczonych Stanów Ameryki Północnej, na *Downing Street* w domu L. 10 Westminstowskiej dzielnicy Londynu, dwunastu mężów stanu podpisało jeden z najważniejszych aktów politycznych dla przyszłości Imperjum Brytyjskiego, a najważniejszy bezsprzecznie akt dla buntowniczej Irlandji.

Zlikwidowany został prawnie najdłużej trwający zatarg polityczny w historji Europy. Gdy w 1167 roku jeden z książąt feudalnych Królestwa Leinster, Dermod Mac Murrogh, wygnany przez Roderyka O'Connor, udał się z Zielonej Wyspy do Anglji i błagał ówczesnego króla Anglji Henryka II-go o pomoc zbrojną, przysięgając wierność i posłuszeństwo *obcemu* monarsze, nie przypuszczał zapewne nawet ówczesny przepotężny władca na stolicy Piotrowej, że rozpoczyna się konflikt, w którym wszystkie czynniki religijne, narodowe, społeczne i polityczne wejdą w grę, konflikt trwający z górą 754 lata!

W grudniu 1171-go roku angielski król Henryk II na czele 400 rycerzy i 4000 pieszego żołnierstwa wylądowuje w Irlandji, podbija z łatwością królestwa Leinster i Munster, pozostałe zaś dwa Ulster i Connaught dzieli po 4-ch latach walki w ten sposób, iż terytorja na wschód położone bierze Angja, zaś zachód wyspy pozostaje przy Roderyku O'Connor, na prawach lenności i wassalstwa w stosunku do króla Anglji.

Tu po raz pierwszy zapoznano się z eksterminacyjną polityką zdobywców, z tym niesłychanie skomplikowanym aparatem kolonizacyjnej polityki wywłaszczeń i ekspatrjacji.

A travers les âges, w ciągu wieków całych, obserwować tu możemy „interwencję mocarstw“, a więc Szkotów, Hiszpanji, Francji i Niemiec; obserwujemy tu najdziksze wprost objawy walk religijnych, wobec których blednie rzeź Hugono-

zarobków. Za tą burżuazją pójdzie i inteligencja, która według słów mego znajomego zupełnie się zmieniła pod rządami bolszewików, wyzbyła się dawnego idealizmu, doktrynerstwa, zrobiła się praktyczną, amerykańską. Otóż ta nowa burżuazja, grupująca się w wielkich miastach i jest w stanie dokonać przewrotu, którego nigdy nie dokonają powstania włościańskie, a który po zlikwidowaniu systemu bolszewickiego będzie nie restauracją dawnego regime'u, lecz etapem rewolucji rosyjskiej. Takie są zdaniem mego informatora perspektywy, których nie widzi emigracja rosyjska. Nie widzi ona, że w Rosji bolszewickiej odciętej od świata powstało nowe życie, które niesie z sobą nową „trzecią Rosję", nie podobną do trzeciej Rosji Mereżkowskiego i Sawinkowa.

Jeżeli tak jest w rzeczywistości, jak twierdzi mój znajomy, to emigracji rosyjskiej, nie pozostaje nic, jak uznać fakty dokonane i przystosować się do nowego życia, nie zważając na całą nieponętność tego nowego życia, nie pozostanie nic, jak szukać służby u nowej burżuazji o wiele gorszej, bo mniej kulturalnej i więcej chciwej i bezwzględnej, niż dawniejsza, którą zniszczył bolszewizm, cudzoziemcy zaś, a zwłaszcza sąsiedzi, będą musieli liczyć się z tą nową siłą, z tym nowym gospodarzem Rosji, brać go w rachubę w swoich planach politycznych i ekonomicznych.

Ale przedewszystkiem, czy ta nowa siła istnieje, czy jest rzeczywiście to nowe życie, o którem mówił mój znajomy, czy nie jest ono wytworem wyobraźni, pracującej zgodnie z teorją, według której takim właśnie powinien być przebieg rewolucji: nowy ład wychodzi z łona rewolucji, opiera się na czynniki wytworzone przez rewolucję?

Otóż co mówią fakty?

Wszyscy zwiedzający Rosję w ostatnich czasach twierdzą zgodnie, że nastąpił przełom w życiu Rosji Sowieckiej, który na zewnątrz ujawnia się w wyglądzie Moskwy i Piotrogrodu. Miasta te do niepoznania zmieniły się w porównaniu z tem, co było jeszcze niedawno, przed paru miesiącami: ruch na ulicach, otwarte kawiarnie, restauracje, sklepy. O kawiarniach się mówi najwięcej, nigdy przed rewolucją nie było w Moskwie, ani w Piotrogrodzie takiej ilości kawiarni, jak teraz, i wszystkie robią doskonałe interesy, nie zważając na bajeczne ceny ciastek i kawy.

Nie słychać jednakże o nowych fabrykach puszczanych w ruch, o robotnikach powracających znowu ze wsi do miasta, o wzmożonej produkcji.

Otóż ta działalność nowej burżuazji rosyjskiej, która ujawnia się nie w produkcji, a w obfitości kawiarni i sklepów gastronomicznych, zmusza do wielkiej rezerwy w ocenie tej burżuazji, jako nowej siły, reprezentującej nowe życie. Każdy „regime" wzbogaca pewną grupę ludzi, każdy „dwór" stwarza dokoła siebie pewne życie. Ale nie każda nowowzbogacona grupa jest twórczym czynnikiem, nie każde „życie" jest „nowem życiem", może ono być sztucznym i chorobliwym objawem rozkładu starego życia.

Sowieccy dygnitarze, rozmaici dostawcy nowej władzy, ich żony i utrzymanki, mogą żyć i używać, mogą kupować nietylko ciastka, ale i najdroższe przedmioty zbytku, szmuglowane z zagranicy. Jeżeli dla ich potrzeb powstają w stolicy kawiarnie i sklepy, czy znaczy to, że rozwija się

---

tów, skoro odrazu zginąć może z rąk katolików irlandzkich z górą 50.000 protestantów-Anglików, zaś Cromwell jako zapłatę za ów czyn zbuntowanych Irlandczyków, kaze się zamianować w roku 1649-ym wice-królem Irlandji, by przez lat cztery tępić ogniem i mieczem całą Irlandję. Dopiero za czasów Cromwella ów podział na zachodnią i wschodnią część wyspy nabrał ciała i krwi w postaci t.zw. *Transplantation*, czyli przesadzania. Jestto ni mniej ni więcej tylko wywłaszczenie ryczałtowe wszystkich Irlandczyków — tak czystej rasy, jakoteż i tych, co pochodząc od osadników angielskich, przyjęli zwyczaje i wiarę religijną nowej ojczyzny... Irlandczycy wyznania katolickiego wyrugowani są z Munsteru, Leinsteru i Ulsteru, jedynie prowincję Connaught, najuboższą i najmniej żyzną, przeznaczono im na miejsce wygnania... Reguła brzmi: Od dnia 1 maja 1653 go roku Irlandczyk-katolik powinien mieszkać na zachodniej stronie rzeki Shannon. Jeśli się go spotka za rzeką, na lewym brzegu, na terytorjum, które zawarowano protestantom, *można Irlandczyka zabić*. *) Karze śmierci przez powieszenie podlegali ci irlandczycy, którzy „nie dawali się przesadzać". Dnia 3 kwietnia 1655 w stolicy Irlandji, w Dublinie, zawisnął na szubienicy Edward Hetherington", mając na szyi tabliczkę z napisem: *For not transplanting*. Ziemię, grunty „przesadzonych" rozdawano podówczas żołnierzom lub zgoła spekulantom z Londynu i innych miast Anglji, stwarzając kilka stuleci trwającą kwestję agrarną w Irlandji.

Wiek XIX, wiek Rewolucji Francuskiej dla całej kuli ziemskiej, wiek emancypacji politycznej, wiek „Wolności, Równości i Braterstwa" zabrał Irlandji ostatni szczątek niezależności — parlament w Dublinie.

Był to zaiste „organ szczątkowy" lecz zawsze drogi sercu irlandzkich patrjotów, aczkolwiek katolicy irlandcy nie mogli do tego parlamentu wybierać posłów!

Słynny akt Williama Pitta *akt Unji* (1798-1800) znosił parlament irlandzki po to, by po 120 latach utworzone zostały dwa parlamenty w Irlandji (ulsterski w Belfast i irlandzki w Dublinie), jeden w Anglji, a w projekcie są wspólne delegacje tych parlamentów w Londynie.

Jednak wiek XX załatwił definitywnie dwie sprawy w Irlandji: emancypację katolików i kwestję rolną. Obydwie te sprawy załatwiono, odrabiając wszystkie prawie barbarzyństwa i *faux pas* polityki angielskiej.

Dziś gdy „przymierze", jak inni chcą znów „pokój" (*peace*) podpisano i zacząć się ma nowy okres w życiu obydwu narodów, przyjrzyjmy się postaciom wielkich Irlandczyków XIX stulecia, którym kraj rodzinny i ludzkość zawdzięczają tryumf sprawiedliwości.

---

*) „Irlandja" przez Edwarda Hervé. Warszawa. 1886 str. 210.

nowe życie, że rośnie nowa siła niezależna. Jeżeli były inżynier lub adwokat, nie mając zastosowania dla swych sił otwiera w Moskwie lub w Piotrogrodzie kawiarnię lub sklepik z kosmetykami, czy jest to objawem tworzenia się nowej, praktycznej, „amerykańskiej" inteligencji w Rosji.

Że sowiecka burżuazja rozkłada system sowietów, to nie ulega wątpliwości, lecz czy może ona być fundamentem nowej Rosji, to — wielkie pytanie.

Fundamentem tym, zdaje się, pozostaje wieś — jedyna siła w Rosji, żyjąca swojem niezależnem od władzy bolszewickiej życiem.

Leon Kozłowski.

Nowożytny kodeks cywilny.

(Dokończenie).

IV.

Na tem tle możemy dopiero ocenić, jakie znaczenie należy przypisywać tym zmianom, które w prawie cywilnem nastąpiły od czasu ogłoszenia wielkich kodeksów Napoleona i austrjackiego.

Rozumowanie, którego się tutaj trzymam, jest następujące:

Stwierdzam przedewszystkiem zmianę, jaka zaszła w wymienionym okresie czasu w unormowaniu pewnych sytuacji faktycznych. Następnie badam, z jakiego poglądu na świat wynikła zmiana tych norm. Gdy ten punkt stwierdzę, wyniknie mi sama przez się konstrukcja prawna, wedle mojego bowiem zapatrywania konstrukcja prawna jest koniecznym wynikiem odpowiedniego światopoglądu, odpowiedniego myślenia. Jeżeli przeto n.p. Duguit charakteryzuje rozwój prawa od końca XVIII wieku w ten sposób, że z końcem XVIII wieku było prawo podmiotowe, metafizyczne i indywidualistyczne, a z końcem wieku XIX mamy do czynienia z prawem przedmiotowem, pozytywnem i socjalistycznem, to określenia te uważam za skróty. Zmianie ulega światopogląd, a raczej i to określenie należy w ten sposób zmodyfikować, że zmianie ulega tylko stosunek światopoglądów do siebie, t. j. zmienia się supremacja myślenia racjonalistycznego nad kierunkiem religijnym lub naodwrót. Zmiany, które w ubiegłym wieku zaszły w prawie cywilnem, możemy ugrupować dookoła trzech punktów: wolności kontraktowania, prawa własności i odpowiedzialności za szkodę. Zmiany te są powszechnie znane, nie będę ich tu przeto wyliczał. W ostatnich, powojennych już latach występują jaskrawo! Umowa o pracę doznaje daleko idących zmian, prawo własności znajduje się w fazie przeistoczenia przez przepisy o dzierżawach przymusowych, wywłaszczeniu, ochronie lokatorów, sekwestrze lasów i t. d. Jak te zmiany wpływają, względnie mogą wpłynąć na konstrukcje prawne. Stosownie do stanowiska, któreśmy zajęli, pytanie to będzie rozstrzygnięte przez odpowiedź, jaką damy na inne pytanie, a mianowicie: z jakiego światopoglądu wypłynęły te zmiany, jakie myślenia są produktem.

Nie mogę mieć wątpliwości, że żadna z tych zmian nie jest wynikiem czegokolwiek innego,

---

Reytan Irlandzki, Grattan, ów poseł z miasteczka Wicklow, nie szedł w ślady naszego Reytana, lecz dobył broni i podczas przerwy w posiedzeniu parlamentu w Dublinie odbył pojedynek z deputowanym Corry, kładąc go trupem na miejscu.

Niestety, za miljon funtów szterlingów kupiono sobie głosy kilkunastu deputowanych i lordów irlandzkiego parlamentu, wytwarzając większość rządową Castlereagha.

Z kolei przychodzi O'Connell (1745—1847) pierwszy twórca emancypacji katolików w Irlandji, dalej idzie Izaak Butt (1813—1879), protestant-irlandzyk twórca doktryny Home Rule'u, początkowo sformułowanej w programie *„Repeal"* odwołania aktu Unji.

Jasna, acz dramatyczna postać drugiego protestanta-irlandczyka, Karola Stewarta Parnella, owego „nieukoronowanego króla" Irlandji (1846—1891), fascynuje polityków i artystów kontynentu do dnia dzisiejszego.

Tragiczna osoba Michała Dawitta, jednorękiego żołnierza, spiskowca-terorysty, założyciela Ligi Rolnej *Land Seague*, przykuwa uwagę społecznych działaczy po „Wiośnie Ludów 1848 roku".

I wreszcie spokojny, trzeźwy, zrównoważony, parlamentarzysta w wielkim stylu, wódz i leader stronnictwa, John Redmond (1856—1916 r.), balansujący w parlamencie angielskim wśród nadprzyrodzonych wprost trudności Sinn-Feinnistów i Oranżystów, przenoszący punkt ciężkości kwestji Irlandzkiej do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

A każdy z wymienionych mężów, to synteza zagadnień anglo-irlandzkich, to całe tomy pism, to całe miljony istnień, to walka, życie, śmierć, zmartwychwstanie...

I jeśli polski Wernyhora, Wyspiański, na swej lirze wygrał epopeję Wskrzeszenia naszej Ojczyzny, to znajdzie się i wieszcz irlandzki, który na srebrnych strunach złotej harfy Erinu wyśpiewa nieśmiertelny poemat swego kraju.

* * *

Tymczasem „trzeźwi politycy" podpisali akt z dnia 6 grudnia 1921 roku.

Co akt ten daje Irlandji? Ośmnaście punktów i 3 anneksy precyzują ów pakt zatytułowany: *„Artykuły Ugody"* (articles of agrument). *)

Pierwszy artykuł brzmi: Irlandja otrzyma te same konstytucyjne prawa (statuty) w zespole Narodów uznane, jak Imperjum Brytyjskie, Dominjum Kanady, Republika Australji, Dominjum Nowej Zelandji i Zjednoczenie Południowej Afryki, z parlamentem, mającym moc stanowienia praw dla utrzymania pokoju, porządku i praworządności Irlandji oraz egzekutywę (Rząd) odpowiedzialną przed tym parlamentem, i będzie nazwana i znana jako Irlandzkie Wolne Państwo.

(d. n.) *M. Dąbrowski.*

*) Warto poznać artykuły te nie w skrótach dorywczych a wadliwych, lecz w pełnym tekście.

jak tylko walki, że przeto jest rezultatem racjonalistycznego sposobu widzenia. Zmiana objawia się tylko w stronach walczących i w ich sile, wskutek też czego najpopularniejszem określeniem tych zmian jest stwierdzenie, po czyjej stronie jest przegrana? Czyni się to w ten sposób, że się mówi: ograniczenia pracodawcy, ograniczenia właściciela i t. d. Oznacza to, że w walce robotnika z pracodawcą, ten ostatni uległ i że wskutek tego z „prawa swojego coś utracił, coś mu odebrano, w czemś go ograniczono".

Wiek XIX jest wiekiem demokracji, dochodzącej obecnie, po wojnie, do szczytu. Jako hasło, jako program, demokracja jest fikcją, ani bowiem lud nie rządzi, ani też równość nie jest czemś realnem. Natomiast rzeczywistością jest, że do władzy przychodzą coraz to inne nowe warstwy. Jest rzeczą naturalną, że starają się one o inny podział dóbr, dla siebie korzystny. Zorganizowanie robotnika, dojście jego do wpływu politycznego przez powszechne głosowanie, daje mu szanse zaprowadzenia innego rozdziału dóbr, co się też dzieje przez odpowiednie zmiany umowy o pracę. Następuje to po walce. Pracodawcy ustępują, chroniąc się od większych szkód, któreby na nich spadły, gdyby się dłużej opierali, lub wogóle nie ulegli. Typowym przykładem takiej „demokratycznej" reformy jest reforma rolna w Polsce. Do wpływu przyszedł włościanin i wpływ ten wyzyskuje w ten sposób, że dobra inaczej rozdziela. Reforma ta jednak nie ma nic wspólnego ani z zasadą równości, ani też nie podjęli jej inicjatorzy w wysokiem poczuciu, że nie pewna warstwa ma z tej reformy odnieść korzyść, ale ogół.

Gdy więc w zmianach prawa cywilnego, które w ubiegłym wieku zaszły, nie mogę się dopatrzeć niczego innego, jak tylko produktu myślenia racjonalistycznego, bo produktu walki, przeto nie mogę się skłonić do poglądu, że zmiany te są wpływem innego światopoglądu, że są objawami tego stanu, któreśmy wyżej określili, jako utożsamienie jednostki z ogółem. Nie widzę w tych wszystkich zmianach zbliżania się nowej ery, w której racjonalizm miałby zająć miejsce niższe, niż światopogląd religijny, w której racjonalizm miałby tracić na swojej supremacji.

Jako konieczny rezultat powyższego stwierdzenia uważam, że odpowiadająca myśleniu racjonalistycznemu konstrukcja prawa podmiotowego i osoby prawnej winna być zatrzymaną, a pragnąc nawet taki stworzyć kodeks, któryby odpowiadał nietylko aktualnym stosunkom, ale miał także szanse przetrwania przez pewien dłuższy czas, nie mogę mimo tego pragnienia doradzić obrania innej drogi, bo w tych wszystkich przypadkach, w których mówimy o zmianie prawa cywilnego, nie widzę jeszcze świtania nowej ery, w którejby supremację zdobył kierunek religijny.

V.

Przypatrzmy się obecnie stosunkom, które unormować ma kodeks cywilny, z punktu widzenia ekonomicznego.

Podnoszę tylko te cechy obecnego gospodarstwa, które mają znaczenie dla pracy ustawodawczej.

1) Pierwszą cechą, która szczególnie po wojnie stała się widoczną w sposób jaskrawy, jest wzajemna zależność państw od siebie pod względem gospodarczym. Gospodarstwo społeczne stało się w XIX wieku światowe. Jesteśmy świadkami głębokich wstrząśnień, nie oszczędzających żadnego państwa, właśnie wskutek tego, że wojna zburzyła te wzajemne stosunki gospodarcze między państwami, które przed wojną ułożyły się już w pewien system, ciągle ulepszany i udoskonalany. W szczególności jesteśmy świadkami tych szczególnie doniosłych ujemnych zmian, które spowodowane zostały wyrzuceniem Rosji i Niemiec z owego tak subtelnego organizmu gospodarczego międzynarodowego. Jakie konsekwencje pociąga za sobą dla ustawodawcy ta internacjonalizacja gospodarstwa, zaraz zobaczymy.

2) Wskutek przesilenia walutowego, w którem z różnych powodów znajduje się cała nasza planeta, do znaczenia przychodzi system umów kompensacyjnych, umów, które wogóle starają się zastąpić pieniądz. Umowy kompensacyjne zawierają wszystkie państwa. Szczególnym zaś objawem umowy, która ma pieniądz uczynić zbędnym, jest n.p. tak zwany układ Wiesbadeński, przez który Niemcy pragną zapłacić Francji odszkodowanie nie pieniądzem, ale pracą i towarem. Będziemy świadkami interesującego procesu, nowy ten system bowiem nie może minąć bez pewnych zmian w systemie gospodarczym i w dziedzinie prawa.

3) Doświadczenia, które społeczeństwa poczyniły podczas wojny i po wojnie, a szczególnie doświadczenie bolszewickie, skierowały gospodarstwo społeczne na tory dawnego liberalizmu. Nietylko ten extrem, który się ujawnił w bolszewizmie, ale i wszelka częściowa socjalizacja, wszelki etatyzm, miały sposobność do wykazania swoich ujemnych stron. Nie dał się również utrzymać system maxymalizacji cen. W ostatnich dniach n.p. jeden z najpoważniejszych finansistów w Francji przemawiał za odebraniem państwu kolei żelaznych i za zniesieniem wszelkich monopolów, widząc w powrocie do zasad liberalnych gospodarstwa ratunek (należy podkreślić ten ciężki wyraz: ratunek) Francji. Niedość na tem. Nietylko wewnątrz każdego państwa daje się stwierdzić ten powrót do liberalizmu, ale i w stosunkach zewnętrznych państw między sobą budzi się świadomość, że jednostronne ubezpieczanie swojego gospodarstwa zapomocą ceł, taryf, wogóle zakazów wywozu lub przywozu, nie da się utrzymać bez obawy szkód lub wywołania pewnych anormalnych objawów. Kwestja odszkodowania, które zapłacić mają Niemcy, jest przykładem takiego błędnego koła, w jakie sprawa wpaść musi wrazie stosowania systemu antiliberalnego. Niemcy zapłacić mogą odszkodowanie tylko wrazie zwiększenia eksportu. Tymczasem wszystkie państwa spieszą się, aby postawić mur w postaci ceł i t. p., chroniący ich właśnie od tego eksportu niemieckiego.

4) Przystępuję do czwartej najważniejszej cechy. Kilkakrotnie już wspomniałem, że całe gospodarstwo światowe znajduje się w stanie przesilenia. Przyczyny tego stanu są bardzo skomplikowane. Nie może ulegać wątpliwości, że

Keynes ma rację, twierdząc, że przyczyną jest hyperprodukcja dóbr, wywołana fałszywym rachunkiem, fałszywemi przewidywaniami kupców. Możemy to stwierdzić, widząc, jak Ameryka jest już, a Anglja będzie zmuszoną sprzedawać swoje towary poniżej kosztów. Ale hyperprodukcja nie jest przyczyną powszechną, i nie wszędzie jej przypisać należy przesilenie. Z tego powodu uważam za trafniejszy pogląd Cassel'a, wedle którego przyczyną przesilenia jest większe zapotrzebowanie kapitału stałego, aniżeli wynoszą oszczędności. Jest to także fałszywe obliczenie przedsiębiorców, ale temat jego jest inny, jak u Keynes'a. Chciałbym szczególną zwrócić uwagę na ten stan rzeczy, odnosi się on bowiem szczególnie do naszego kraju. Przemysł nie może otrzymać dostatecznego kapitału, bo oszczędności zostały przez wojnę zniszczone, względnie są mniejsze, aniżeli ich zapotrzebowania. Czy jednak ten stan nie jest przejściowy, czy nie jesteśmy na drodze zebrania nowych oszczędności?

Niestety, demokracja, która niepodzielnie obecnie panuje, niełatwo na to pozwoli. Prawie wszystkich państw budżety wykazują deficyt. Aby go pokryć lub zmniejszyć, nakładane będą podatki. W ustroju demokratycznym podatki te obciążą przedewszystkiem sfery posiadające i to obciążą je w sposób dotychczas nie praktykowany. Takie obciążenie zaś, jak doświadczenie uczy, wyklucza oszczędzanie, tępi wszelki zmysł oszczędzania. Chłop rosyjski, któremu zboże rekwirowano dla państwa, uprawia tylko tyle roli, ile potrzeba dla niego samego. Każdy będzie się spieszył z wydaniem swojego dochodu, wiedząc, że, jeżeli go nie wyda, zostanie mu zabrany w formie podatków lub danin państwowych.

Uchwyćmy jeszcze raz to rozumowanie.

Przesilenie ma główną swoją przyczynę w braku kapitału stałego. Kapitału tego brak, bo wyczerpane zostały oszczędności. Oszczędności z trudnością gromadzić się będą wobec zwiększających się ciągle z konieczności ciężarów publicznych. Jakiż będzie rezultat tego stanu? Ogólne zubożenie. Czujemy je już dzisiaj. Ale niebawem stanie się ono jeszcze dotkliwsze. Kto wyobraźnią potrafi przemienić cyfry na uczucie, ten może mieć pewną miarę przykrości, płynącej z zubożenia Europy, gdy pomyśli, że Europa zwiększa swój dług u Ameryki o dwa miljardy dolarów rocznie. Czy i kiedy je zwróci?

VI.

Spieszę, aby wysnuć konkluzje z mojego wywodu.

Kodeks cywilny polski, a sądzę, że także kodeks każdego innego państwa, którýby w obecnym okresie powstawał, będzie się trzymał następujących wytycznych:

1) Zachowa konstrukcję osoby prawnej i konstrukcję prawa podmiotowego. Mówię: „zachowa", rozumiejąc przez to, że twórcy kodeksu cywilnego będą nadal myśleli racjonalistycznie. Kwestja redakcji jest rzeczą techniczną.

2) Internacjonalizacja gospodarstwa społecznego, a raczej wzajemna, niezmiernie skomplikowana zawisłość państw od siebie pod względem gospodarczym wiedzie do tego, że kodeks dzisiejszy winien wszędzie tam, gdzie to tylko możliwe, dążyć do umiędzynarodowienia prawa cywilnego majątkowego. Pociąga to za sobą bardzo doniosłe konsekwencje. W prawie obligacyjnem okaże się z pewnością skłonność do zbliżenia prawa obligacyjnego do handlowego, a przez to do zinternacjonalizowania go. Tą samą tendencją kierować się należy przy wszystkich formach kredytu, to zaś wywrzeć musi decydujący wpływ na stosunki własności.

3) Dzisiejszy kodeks cywilny zająć się musi zbadaniem wpływu, jaki wywiera lub jeszcze wywrze sprawa waluty na stosunki prawne. Szczególnie w tej dziedzinie zetkną się ze sobą zasadnicze poglądy na prawo, ale ten sam internacjonalny punkt widzenia musi tutaj być decydujący.

4) Dzisiejszy kodeks cywilny stanie na zasadzie liberalizmu gospodarczego. Co będzie ten liberalizm modyfikowało? To, że dzisiejszy kodeks cywilny będzie kodeksem dla ubogich. Nie w tem znaczeniu, żeby brał ubogich w obronę przed bogatymi, ale w tem znaczeniu, że wszyscy będą ubogimi. Bardzo głęboko jestem o tem przekonany, boję się jednak, czy za moją wyobraźnią, malującą mi skutki tego stanu w dziedzinie prawa, wszyscy podążyliby z równem przekonaniem. Będzie niestety inaczej, gdy za dwa lub trzy lata wrócimy do tego tematu. Chciałbym, aby mi wykazano, że się pomyliłem, aby życie nie potwierdziło przewidywań, że idziemy do ubóstwa z wszystkiemi jego konsekwencjami. Jako prawnik, muszę jednak jedno powiedzieć: Jeżeli prawo cywilne rozwijało się z XIX wieku, n. p. w dziedzinie umowy o pracę w tym kierunku, że robotnicy zdobywali pewne korzyści na właścicielach przedsiębiorstwa, to dziać się będzie obecnie odwrotnie. Zwracam uwagę na fakt, który wydawał się dotychczas wprost nieprawdopodobny: robotnicy w Ameryce i w Anglji przyjęli ze spokojem obniżenie płac. Proszę także zbadać usposobienie robotników w sprawie ośmiogodzinnego dnia roboczego.

Wiem, że roztoczyłem przed Panami obraz niepocieszający. Mam jednak najgłębsze przekonanie, że istnieje sposób uratowania ludzkości od grożącego jej chaosu i mroku. Z podrzędnego, a w każdym razie drugorzędnego stanowiska winna się religja, a więc zasady absolutnej moralności, wydobyć na takie miejsce, w którem by nie ulegała supremacji racjonalistycznego myślenia. Sądzę, że znajdzie się dość odwagi i charakteru, aby to powiedzieć. Niema go Spengler, o którym mówiłem. Widzi, że ojczyzna jego, Prusy, będzie uratowana, jeżeli każdy potrafi tam „frein sein und dienen", ale wstydzi się powiedzieć, że można dojść do tego tylko przez religję. Odważniej stawia tę rzecz Walter Rathenau, który napisał książkę „Von materiellen Dingen, jedoch um des Geistes Willen". On też pragnął i pragnie wszczepić w swoich ziomków, że „nie bojaźń i nie nadzieja są poruszającemi mocami. Nie racjonalistyczne dążenie do mechanicznej równowagi, nie dobroć i nawet nie sprawiedliwość. Ale wiara, która wypływa z miłości, najgłębsza potrzeba i wola Boga". We Francji Dumourgue i cały szereg innych sprowadzają religję z nieba na ziemię, z przyszłego życia przenoszą ją do teraźniejszości. A my? Przypominam sobie charak-

terystykę, którą dał Keynes o Clemenceau. Nie miał żadnych iluzji, nie ufał nikomu, nawet najbliższym. Kochał jednak Francję nad wszystko, ją tylko miał w sercu i w umyśle. Może i nas przeżarł sceptycyzm. Może. Ale, jak Clemenceau Francję, my kochamy Polskę. Tacy już jesteśmy, a wskutek tego będziemy pracowali bez spoczynku i bez wytchnienia. To nas uratuje.

Prof. Wład. Leopold Jaworski.

FAŁSZYWE TROPY.

(W sprawie repatrjacji).

Nasza opinja publiczna, ilekroć chodzi o najbardziej żywotne interesy narodu, urabianą bywa w kierunkach tak djametralnie sobie przeciwnych, że bezstronny czytelnik polemiki publicystycznej, przez porównanie przeciwstawianych argumentów, wyrobić sobie zdania nie może. Pozostaje mu tylko chyba odgadnąć, która ze stron dyskutujących trzyma się istoty sprawy, a która, zaślepiona chęcią skompromitowania przeciwnika, poprostu przypisuje mu działalność zmyśloną i pobudki nieuczciwe.

Możnaby z łatwością przytoczyć wiele przykładów, wiele spraw, od właściwego rozwiązania których zależy wprost pomyślność państwa, co do których opinja ogółu jest rozdzielona na dwa wrogie, wzajemnie się podejrzewające o nielojalność odłamy, a które były przez publicystów tak słabo wystudjowane i oświetlone, że własnego sądu niema możności sobie urobić.

Tak jest ze sprawą sanacji naszej skarbowości państwowej, ze sprawą wszelkich orjentacji w polityce zagranicznej. To samo w sprawie stosunku państwa do mniejszości narodowych, stosunku warstw posiadających i robotniczych, i w takich też warunkach wyłania się obecnie przed nami wyrosła z rosyjskiej anarchji i z zawiłych postanowień niefortunnego traktatu Ryskiego nowa sprawa, aktualne zagadnienie olbrzymiej doniosłości, sprawa repatrjacji naszych rodaków z Rosji.

Gdy mija jaki moment dziejowy, gdy następuje rozstrzygnięcie kwestji, zajmującej przez jakiś czas myśl całego społeczeństwa, a rozstrzygnięcie to nie odpowiedziało naszym życzeniom, wszczyna się wówczas faza zaciekłej walki partyjnej na temat wyszukiwania kozłów ofiarnych, które mają ponieść odpowiedzialność za niepomyślny obrót sprawy.

Wygłaszane są wówczas zarzuty namiętne, przesadne i nieumotywowane, aby sąd objektywny oprzeć, a ogół spragniony prawdy, zawiedziony i zdenerwowany, często kieruje swój żal lub uznanie na całkiem fałszywe tropy.

Często się zdarza, że sprawa, na której przebieg wywierały wpływ instytucje i ciała zbiorowe, jak sejm lub komisje międzyministerjalne, lub czynniki nieodpowiedzialne, do poglądu których odpowiedzialny minister uznał za właściwe się zastosować wskutek braku ciągłości i jedności kierownictwa w jej traktowaniu, zostaje rozstrzygniętą w sposób przeciwny życzeniom ogółu, aż naraz w ostatniej chwili pojedyńczy człowiek dobrej woli, ratując sytuację z możliwie najmniejszą szkodą, przyjmuje na swe barki odpowiedzialność za jej zakończenie i podpisanie, a wtedy „vox populi“ bezwzględnie jemu jednemu przypisuje całą winę niepowodzenia i jego jednego potępia. Kozła ofiarnego nie trzeba szukać. Winnym jest ten, kto położył swój podpis ostatni.

Sytuacja taka zarysowała się dziś w akcji t. z. repatrjacyjnej, która przyjęła tak tragiczny obrót i która tak alarmuje opinję publiczną.

Opinja chętnie wynajduje w tej tragedji osoby, z których można zrobić kozły ofiarne, zwaliwszy na nie całą odpowiedzialność, zapominając o tem, w jakich warunkach osoby te zmuszone były działać.

By zdać sobie sprawę z tych warunków, cofnijmy się nieco wstecz.

Przed rozbiorami Polaków poddanych rosyjskich nie było.

Mocą rozbiorów, blisko dwa miljony Polaków zamieszkałych na Kresach zaliczono do ludności cesarstwa. Wnukowie ich wraz z dziećmi zesłańców na Syberję i do dalszych gubernji Rosji Europejskiej, rozproszeni walką o egzystencję po całym kraju, dosięgli obecnie liczby trzech do trzech i pół miljonów. Wszyscy oni słusznie oczekiwali od rządu kraju macierzystego ujęcia w swe ręce sprawy ustalenia ich losu.

Zdawałoby się, że w traktacie pokojowym Polski z Rosją powinny przedewszystkiem być przekreślone rozbiory i wszystko, co było prawnym ich wynikiem. Zdawałoby się, że Polacy, których ojcowie nie z własnej winy lecz przymusowo stali się poddanymi Rosji, powinni dziś przez sam fakt odrodzenia i uznania Polski i przekreślenia aktów przemocy odzyskać swój charakter obywateli polskich i prawo do opieki polskiego rządu. Takby się zdawało.

Stało się niestety inaczej. Traktat Ryski uznał „demokratyczną“ zasadę niemieszania się do spraw wewnętrznych każdego z państw traktujących. Polacy urodzeni i zamieszkali w Rosji uzyskali tylko prawo opcji, w przeciągu jednego roku. Lecz korzystanie z tego prawa okazało się praktycznie niewykonalnem. Tylko bowiem ci, którzy mieszkają w głównych miastach kraju, mają możność o tem prawie czegoś się dowiedzieć. A nawet nie wszyscy mogą dotrzeć do tych funkcjonarjuszy którym jego wykonanie jest powierzonem. Ogół nie może z tego prawa korzystać. Nie mówiąc już o tem, że samo wyrażenie chęci bywa powodem do groźnych represji, co bezwzględnie w bardzo znacznym stopniu uniemożliwia korzystanie z tego prawa ogółowi.

To też wśród licznej rzeszy Polaków pozostałych w bolszewji przy barbarzyńskich i dzikich warunkach życia i niesłychanych a nieustannych prześladowaniach nikt poważnie nie myśli o opcji, a każdy marzy o ucieczce. Poselstwa w Moskwie i Charkowie nie mają możności skutecznie rodakami się opiekować. Krążą tylko literackie noty dyplomatyczne — a wiadomo, jak na nie rząd Sowietów reaguje. — Zaś elokwencją i perswazją niesposób uwolnić ofiarę, którą wściekłe zwierzę trzyma w swoich szponach.

* *

Uciekają więc ludzie bezbronni, wynędzniali, aby ujść z życiem, a wielu życiem przepłaca sa-

mą próbę ucieczki, ci zaś, co się przez granicę przedostają, czy to w pociągach repatrjacyjnych, czy to grupami lub w pojedynkę, jadąc i idąc, jak kto może, przed granicą doszczętnie są ograbiani, pozostawiani sami sobie, bez środków do egzystencji, często bez ubrania nawet.

Fala tego przypływu ludzkiego jest ogromną, ale nie jest wyłącznie polską — gdyż ucieka z Rosji kto może. 80% żydów i Rosjan — 20% Polaków. I nic dziwnego, że tak jest — każdy swe życie ratuje i w tym celu przywdziewa maskę obcej narodowości. Dziwniejszem jest, że urzędy polskie dostarczają jawnie obcym tych masek w formie tymczasowych paszportów, przepustek i rozmaitych zaświadczeń.

Płynie więc fala mieszana, daleko większa, niż się spodziewano, daleko większa, niż mogą pomieścić urządzenia dla niej przygotowane. Nie przewidziano tak licznej reemigracji, bo nikt z czynników miarodajnych poważnie nie zbadał sytuacji, nikt nie zastanowił się nad tem w jakich warunkach ta reemigracja będzie się odbywała.

Ci, co mieli obowiązek to uczynić, przyjęli pod uwagę tylko odnośne paragrafy traktatu, a nie warunki życia w Rosji, nie wyciągnęli wniosków, do których sama świadomość tych strasznych warunków logicznie prowadzi.

I oto dziś punkty graniczne w wielkich centrach komunikacyjnych z Rosją: Baranowicze, Równo i pobliskie miasta i stacje po stronie bolszewickiej, Mińsk a szczególnie Zwiahel i Szepetówka na Wołyniu i wiele pomniejszych, stały się miejscowościami, w których nagromadzone rzesze uchodźców naszych cierpią takie męki, że opis dokładny tego, co w nich się dzieje, mógłby być stawiany obok najwięcej przejmujących grozą rozdziałów Dantejskiego piekła.

Po stronie bolszewickiej, w takiej Szepetówce i Zwiahlu utworzyła się aglomeracja około dwudziestu tysięcy osób, których rząd sowietów tam tłoczy, jak tabun zwierząt w zagrodzie, nie troszcząc się o to, ilu z nich zemrze z chłodu i nędzy, i dzieli na kategorje. Jednych wypuszcza, drugich zatrzymuje na to, by następnie oskarżyć i skazać na śmierć... za antybolszewickie przekonania.

Ogół traci to, co mógł uratować i chciał wywieźć do Polski, pieniądze, rzeczy, kosztowności.

Wielu odbierają paszporty... A temi kosztownościami potem rząd sowiecki będzie spłacał raty przynależne Polsce z mocy traktatu, zaś rząd Polski je przyjmie... a za temi paszportami przejadą przez granicę agitatorzy bolszewiccy, wysłani po to, by urządzać strajki, propagować komunizm i dezorganizować życie państwowe w Polsce.

Przyjrzymy się z kolei, co się dzieje po stronie polskiej z tymi, którzy się przedostali.

W Baranowiczach, w Równem, w Kowlu potworzyły się wielotysiączne skupienia. Przewiezieni w nieogrzewanych wagonach, wielu bez ciepłej odzieży, repatrjanci pomieszczeni są zimnych barakach.

Wszystkie urządzenia obliczone są na daleko mniejszą ilość ludzi, niż przybywa. Odżywienie najgorsze i niedostateczne. Nieszczęśliwi, których twarze same zdradzają cierpienia moralne, zdziwienie i rozczarowanie. Wszak ci ludzie myśleli po skończonej odyssei po piekle bolszewickiem, że gdy się znajdą wśród swoich, zastaną tam przygotowane przyjęcie i opiekę, której tak bardzo potrzebują. A zastali—baraki mroźne, w nic nie zaopatrzone i administrację, biurokratycznym sposobem wykonywującą cały szereg uciążliwych przepisów i formalności.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie rozgoryczenie musiało panować i jakie oburzenie odczuwają ci, co na to wszystko patrzą.

Łatwo się domyśleć, jakie opowiadania będą krążyły po kraju, jakie krytyki i złorzeczenia będą wyrażone pod adresem instytucji repatrjacyjnej. A powszechne potępienie, które się zwali na głowę ludzi kierujących temi instytucjami będzie przypadkowym wynikiem szeregu nie ich tylko błędów.

Szerszy ogół nie zastanawia się dostatecznie i nie zdaje sobie sprawy z tego, że dotychczasowa nasza akcja repatrjacyjna jest bezsilną wobec ogromu potrzeb.

Rzeczywistych winowajców należy szukać dalej. Winien jest rząd, bo we właściwym czasie nie przewidział rozmiaru powrotnej fali uchodźctwa, co na podstawie danych rozmiarów anarchji w Rosji przewidzieć mógł i powinien był, bo nie zażądał od Sejmu dostatecznych kredytów, bo nie zorganizował we właściwym czasie odpowiadającego potrzebie aparatu i środków przewozowych, kontroli przejeżdżających granicę i opieki nad tymi, którzy bez niej obejść się nie mogą.

Winien jest sejm, bo się tą sprawą, tak dla życia Polski ważną, zamało zajął, bo nie zażądał od rady ministrów gruntownego jej wystudjowania i nie wyłonił z siebie komisji, która obok rządu powinna była zbadać ją samodzielnie.

Winna jest prasa, bo w sprawie tak doniosłej nie zdobyła się na dość objektywne i dość wyczerpujące rozprawy, nie zwróciła uwagi ogółu na zawiłość kwestji, a przedewszystkiem nie wywarła dostatecznego nacisku na organa bezpośrednio za nią odpowiedzialne, by je zniewolić do poważniejszego i należytego traktowania zadania.

Dzieje się źle.

Tak prowadzona akcja repatrjacyjna nietylko zdziesiątkuje szeregi powracających do ojczyzny, ale zachwieje ich wiarę, podkopie uznanie dla organów państwowości polskiej i przywiązanie do niej na ziemiach kresowych, wreszcie zasieje fatalny siew rozdziału i niechęci dzielnicowych.

Za wszystko to odpowiedzialni są: rząd, sejm i prasa, a nie jednostki, którym przy braku środków kazano sytuację ratować w miarę możności. Rzucać kamieniem na te jednostki jest lekkomyślnością i sądem powierzchownym, a nadewszystko wprowadzeniem opinji publicznej na fałszywe tropy.

Tadeusz Michalski.

SŁÓW KILKA O EGZAMINACH.

Warszawska Politechnika wypuściła w świat przed świętami pierwszych trzech inżynierów-elektrotechników. Z radością i dumą spogląda się na tych pierwszych pionierów tak ważnej gałęzi nauki, która otwiera dla całego kraju nowe horyzonty. My przecież mamy tyle sił dających się spożytkować jako motory do wytworzenia elektryczności, że przed naszym krajem

otwiera się niewątpliwie świetna przyszłość. Już teraz na Górnym Śląsku mamy wytwórnie siły elektrycznej jedne z największych w Europie, a cały biały węgiel wód Małopolski stoi jeszcze przed nami nietknięty. Nieużytkowane dotąd gazy ziemne, jakich obfitość uchodzi bezużytecznie — to trzecie źródło, które kraj, ufam, pokryje siecią przewodów, a Państwu da silne oparcie materjalne. Z temi zasobami możemy śmiało rywalizować z najbogatszemi krajami świata.

Ale te trzy zmęczone egzaminami postacie nasunęły mi jako pedagogowi pewne myśli. Należy je uprzytomnić szerszemu ogółowi przewodników młodzieży, którym leży na sercu dobro nauczania. Do nich zaliczam w pierwszym rzędzie czcigodnych profesorów tutejszej Politechniki, pomiędzy którymi dziś już jaśnieją nazwiska europejskiej sławy. Każdy wykładowca dąży do tego, ażeby jego przedmiot został należycie opanowany przez ucznia. I nie można tego zapatrywania nie podzielać, bo przecież chodzi o wytworzenie jaknajlepszych sił fachowych. Nie zgadzam się jednak na drogi do tego obrane. Każdy ze słuchaczy zdaje w przeciągu nauki egzamin z 30 kilku przedmiotów, naprawdę nielatwych do opanowania i może niekoniecznie potrzebnie traktowanych aż tak drobiazgowo, jak to się dzieje, ale to rzecz wykładowcy. Przy tegoczesnej specjalizacji każdego przedmiotu nie można dążyć do tego, ażeby głowa stała się podręcznikiem każdej specjalnej gałęzi wiedzy. Już oddawna wiemy, że im łatwiej ktoś wyucza się tej wielkiej masy pamięciowych wiadomości, tem łatwiej je zapomina zaraz po egzaminie i odwrotnie: im trudniej to przyswojenie przychodzi, co zwykle jest związane z mniej łatwem zdawaniem egzaminu, tem dłużej zostaje. Rzeczą profesora, który umie należycie traktować wyzyskanie przedmiotu, jest już w ciągu wykładów i ćwiczeń z uczniami odbywanych przekonać się o ich potrzebnem przygotowaniu: egzamin powinien tylko conajwyżej zaświadczyć o należytem zgłębieniu i umiejętności zastosowania wiadomości. Szczegóły niech uczeń umie wyszukać w istniejących źródłach i niech się w nich należycie orjentuje. Rozmaite zapiski z wykładów, kursa i t. d., to najczęściej tylko niepotrzebny balast, który życie rychło za nawias usunie. Jest przecież rzeczą oddawna dowiedzioną, że tylko nieznaczna część przedmiotów wykładanych potrzebną jest w całej rozciągłości w zastosowaniu fachowem i uczeń musi uzupełniać później jako fachowiec to, co nabył w szkole, a co ważniejsza, nieraz przerabiać i do życia dostosowywać własną praktyką.

Te tak drobiazgowo prowadzone egzamina w szkołach fachowych są anachronizmem, który rujnuje niepotrzebnie układ nerwowy i nie daje żadnej praktycznej korzyści. I nad tem niech pomyślą nasi czcigodni wykładowcy, którzy mając niewątpliwie najlepsze zamiary, popełniają stale błąd, w ten lub inny sposób odbijający się niekorzystnie na zastosowaniu życiowem umiłowanej przez nich nauki.

A już ten egzamin komisyjny, w którym biedny delikwent po raz już nie wiem który musi wyliczać drobiazgi, tylko w podręczniku a nie w głowie myślącego człowieka stosowne, powinien ustąpić innemu, racjonalniejszemu sposobowi traktowania wiedzy fachowej. Nie jest też dziwnem, że jeden z najzdolniejszych inżynierów elektrotechników, który tylko co przeszedł tę męczarnię komisyjną, koledze młodszemu, pytającemu, jak mu poszło, odpowiedział: obyście jaknajprędzej skończyli to wszystko, co ja tam musiałem wytrzymać!

Sądzę też, że po dotychczasowych doświadczeniach panowie profesorowie wogóle dojdą do przekonania, że należy bardziej oszczędzać układ nerwowy młodzieży naszej, wyczerpanej na siłach skutkiem przeżyć wojennych, niejednokrotnie mającej za sobą ciężkie walki za całość Ojczyzny i dążącej teraz do jaknajrychlejszego odrobienia lat czasu straconych wskutek wojny studjów i osiągnięcia samodzielnego bytu. A i krajowi przydadzą się w pierwszym rzędzie silni fizycznie i moralnie pracownicy. Uwagi te poddaję głębokiej rozwadze, jako wieloletni praktyk w zawodzie nauczycielskim.

Prof. Bujwid.

OD POLSKIEGO KOMITETU POMOCY OFIAROM GŁODU W ROSJI.

Straszna klęska głodowa, niewidziana jeszcze w dziejach świata, spadła na Rosję, pochłaniając miljony ofiar, a w tej liczbie i tysiące nieszczęsnych naszych rodaków, oczekujących jeszcze na powrót do kraju. Sumienie ludzkości, wstrząśnięte zgrozą przejmującemi wieściami o męczarniach, jakie przeżywa nieszczęśliwa ludność Rosji, pobudziło narody ucywilizowanego świata do zorganizowania międzynarodowej akcji ratowniczej, w której i Polska zapowiedziała swój udział.

W tym celu powstał w Warszawie, pod przewodnictwem ks. Arcybiskupa Ed. Roppa „Polski Komitet Pomocy Ofiarom Głodu w Rosji“, który jest w ścisłym związku z organizacjami Hoovera i Nansena, a jednocześnie jest w stałem porozumieniu z władzami polskiemi.

Do wszystkich obywateli Polski zwraca się komitet z wezwaniem przyjścia z pomocą w miarę sił i zasobów nieszczęsnym ofiarom głodu.

Ciężkiem jest położenie nasze, dużo biedy i trosk we własnym domu, ale niech nikt nie powie, że w chwili, gdy inne narody spełniały czyn miłosierdzia, naród polski stał na uboczu.

Więc spieszcie z pomocą.

Pamiętajmy też o tem, że w plonie obfitym, jaki śmierć dziś zbiera na obszarach Rosji, niemałą część stanowią ofiary polskie. Ginie tam tysiącami dziatwa, a ją ratować — to jest nasz pierwszy i najświętszy obowiązek.

Ofiary na rzecz Komitetu przyjmują: Pocztowa Kasa Oszczędności (Conto czekowe № 3416); Bank Handlowy w Warszawie (conto № 7644); Bank Kredytowy (conto № 1840), Bank Mazowiecki, Skarbnik Komitetu—p. Ludwika Bersonowa—Sienkiewicza 4 m. 7, oraz biuro Komisji Finansowej Krakowskie-Przedmieście 9, w lokalu Polskiej Spółki Akcyjnej Handlu Zewnętrznego, oraz Redakcja „Tygodnia Polskiego“.

O WYDANIE DZIEŁ ADAMA MICKIEWICZA.

Wobec zamiaru narodowego wydania dzieł Adama Mickiewicza, należałoby rozważyć gruntownie, jakie wydanie to być powinno i co powinnoby zawierać. Twórczość Mickiewicza dzieli się na polską i francuską.

W pierwszym rzędzie dla rozpowszechnienia dzieł Mickiewicza wśród mas najszerszych powinnoby się wydać całkowicie i krytycznie w układzie chronologicznym wszystkie jego utwory polskie. Byłbym zasadniczym przeciwnikiem czynienia wyboru, nie sądzę bowiem, aby jakąkolwiek klasę polskiego społeczeństwa wypadało traktować jako małoletnią: nie dawać jej do ręki bez zastrzeżeń wszystkiego, co wyszło z pod pióra największego polskiego poety.

Przez wydanie krytyczne rozumiem przedewszystkiem uwzględnienie warjantów i rekonstrukcję tekstów pierwotnych. Rekonstrukcja ta tyczy się zwłaszcza *Dziadów*, które dotychczas są wydawane z okrojeniami wileńskiej cenzury. Niemniej i ten tekst, okrojony przez cenzurę i przerabiany przez przyjaciół Mickiewicza, powinien być uwzględniony, ma bowiem swoje historyczne znaczenie. Układ chronologiczny jest najodpowiedniejszy, daje bowiem ewolucyjnie obraz twórczości autora. Dzieła francuskie winnyby stanowić drugi dział wydawnictwa również krytycznego i chronologicznego. Nie wszystkie, nawet odnalezione utwory francuskie Mickiewicza są znane. I tak Władysław Mickiewicz po wydaniu już Trybuny odnalazł jeszcze dwa artykuły; bibljotekarz rapperswilski, p. Lewak, ustalił autorstwo Mickiewicza jednego niepodpisanego artykułu w *Le Polonais: La politique de l'Eglise russe*.

Trzecią część wydawnictwa dzieł stanowiłyby wykłady w *Collège de France*, przyczem należałoby uwzględnić znajdujący się w Muzeum Mickiewicza w Paryżu rękopis dwuch ostatnich lat wykładów 1842—1844, na którym są poczynione ręką Mickiewicza poprawki i uzupełnienia, przygotowujące ten tekst, jaki znamy z druku.

Tak pomyślane trzy działy obejmowałyby literacką i naukową działalność Mickiewicza. Nie obejmowałyby jednak działalności całej, również doniosłej — politycznej, społecznej i moralnej. Dla tej, jak również dla oświetlenia twórczości literackiej poety konieczne jest wydanie materjałów, tyczących się twórczości i działania Mickiewicza.

Wydawnictwo takie zapoczątkowała Akademja Umiejętności pięciotomową korespondencją Filomatów, przygotowaną po mistrzowsku do druku przez prof. Jana Czubka, i Materjałami do historji Towarzystwa Filomatów, przygotowanemi przez p. Stanisławę Pietraszkiewiczównę i niżej podpisanego. Prof. Czubek zajął jedynie logiczne i naukowe stanowisko, że korespondencja nie może być uważana jako utwór literacki i jako taka wydawana oddzielnie, ale jako dokument, całkowity dopiero wówczas, gdy jest związany, o ile to możliwe, z korespondencyjną całością. Tę metodę należałoby zastosować do całej korespondencji Mickiewicza. Właściwie należałoby poprowadzić w dalszym ciągu wydawnictwo Akademji, która przygotowała cały okres Filomatyczny i przygotować w ten sam sposób wszystkie inne okresy, jako to pobytu w Rosji, emigracyjny do Towianizmu, Towianizm, Legion, Okres polegjonowy i Wschód.

Takie wydanie dzieł i dokumentów byłoby istotnem narodowem wydaniem, zaspakajającem tak potrzeby czytelników wszystkich stopni wykształcenia, jak potrzeby naukowe i byłoby pięknym hołdem, oddanym pamięci wielkiego wieszcza.

St. Szpotański.

Z CYKLU: LOGOS.

I. WROŃSKI.

Byt a myśl! Jakież między niemi są otchłanie,
Że na dwóch bezgranicza zdają się biegunach?
Jakiż zaś cud je łączy, że jak w złotych łunach —
Lśnią w czasu i przestrzeni wiecznym oceanie?

Czy najpierw byt a potem jest myśli działanie —
Czy myśl rozwija tony bytu na swych strunach?
Byt bez myśli w nicestwa zniknąłby całunach —
Myśl bez bytu w pustynnej by zwiędła bezzmianie.

Myśl i byt jednocześnie są wraz i zosobna:
Złączyć ich niepodobna, rozwieść niepodobna —
Bo choć jest coś, co jedność ich do zera kurczy:

Jest łącznik, co myśl z bytem a byt z myślą splata—
Wyłaniając tworzenie wiekuiste świata —
To prawo praw najwyższe, prawo mocy twórczej.

II. GOŁUCHOWSKI.

Czy słowo głębią ciszy ściga życia fale,
Czyli życie podąża w ślad ciszy Logosu:
One wzajem słuchają tajń swojego głosu,
Bo jedno się przegląda w drugiem jak w krysztale.

A choćbyś nieświadomy czy niechętny, w dale
Uchodził w powszedniego ereby chaosu:
Przecież w każdy akt siejby, żniw czy sianokosu
Metafizyka wciska swoje wieczne skale.

Onać jest bytu rdzeniem, osnową, eterem,
Jest wieczną dźwignią duszom i żywiołom czterem:
Tkwi w atomach na globie, w bogach na zenicie.

Oddechem jest powietrza, w którem wiecznie krążym;
Ona w nas, między nami; my w niej, za nią dążym—
Wszystko w niej: bowiem ona jest to samo życie.

III. TRENTOWSKI.

Bóg w możliwości—w czynie—w wieczności: Panteon,
W którym Ja samo siebie widzi jako Nie-ja.
Bacz: to człowieka w bóstwo przemian epopeja
I demona materji w duchowości eon.

Tu w absolut się stęża wszelkie pantareon,
W bożostan się krysztali ludzkich snów ideja.
Tu wychodzisz z ćmy piekła: tu błyska nadzieja.
Z pierwotniaków wykwita zwolna Napoleon.

Poznaj samego siebie w bogo-człowieczeństwie —
W duchu bożym — w naturze — w ludzkiem społe-
[czeństwie —
I bacz: gdy jedni biegną tylko za zjawiskiem,

Aby bieg jego schwytać; inni zaś, źrenice
Zamknąwszy — w sobie śledzą zjawisk tajemnice:
Ty łącz je w różnojednię — objawień uściskiem.

IV. CIESZKOWSKI.

Ojcze nasz! Jako drzemie wielki dąb w żołędzi —
Tak to, co jest w człowieku i poza człowiekiem;
Co jest pierwszem — ostatniem; co bliskiem — da-
[lekiem;
Co wichurą dziejową przez stulecia pędzi;

Co się w cyfrach skrysztali; w słowach rozlegendzi;
Co ciał chlebem powszednim; dusz — winem i mle-
[kiem —
Wszystko co jest kolebką i co grobu wiekiem:
Wszystko masz w tem wołaniu do wielkiego Sędzi.

A przecie, choć te słowa w głębie serc oddzielnych
Zapadły, iż są życia wodą dla śmiertelnych:
Gromady ludzkie w ciemni jeszcze tkwią pogańskiej—

I między niemi płoną wciąż Czerwone morza —
Lecz przyjdzie czas—w narody spłynie ducha zorza—
W historję zejdzie Chrystus—Pan modlitwy pańskiej.

V. TOWIAŃSKI.

A jeśli powiedziano: Miłość niech się święci,
Tedy niechaj się święci. Kto wyrzekł to słowo,
Ten się słowem tem związał. Niech go warunkowo
Nie powtarza z ciemnicy swojej niepamięci.

Co było pod zasłoną tajemnic pieczęci,
To dziś się ma objawić prawdą życia nową:
Kochaj w pełni; nie kochaj li serca połową;
W ducha ciało podnieście wy, duchem napięci.

Miłość nasza jest dotąd, jako dźwięk nieżywy —
Bóg nieżywej miłości — to nie Bóg prawdziwy:
Czyń więc, jakoś tem słowem związał swe jestestwo.

Szukaj naprzód Królestwa Bożego powinną
Duszą — a Bóg ci przyda wszelaką rzecz inną —
I w rzeczywistość spłynie nam Boże Królestwo.

Antoni Lange.

OCTAVE MIRBEAU.

MAŁY PASTUCH KRÓW.[1]

Panowie Przysięgli!

W ciągu długich, bolesnych miesięcy, przebytych w więzieniu, doszedłem do przekonania, że sędziowie śledczy, prokuratorzy i wszyscy wogóle sądownicy, decydujący o życiu i śmierci człowieka, urabiają sobie fatalne i zupełnie fałszywe pojęcie o czynach ludzkich. Ich pojmowanie zbrodni nie wychodzi po za granice pewnych faktów klasycznych, pewnych pojęć dowolnych, do których — z wstrętnie mechanicznym uporem — dopasowują wszystkie zbrodnie, jakie polecono im badać i karać.

Mają do czynienia ze zbrodniami, które nazwałbym filozoficznemi, nie zdają sobie sprawy z niczego: ani ze stopnia wrażliwości, właściwej poszczególnym osobnikom, ani z przyczyn natury moralnej, przyrodzonych, niezmiennych, stojących — z racji swojej niewzruszoności — po nad prawami, po nad Prawem, jeśli wolicie, po nad kapryśnem, niepewnem prawem, zmieniającem się wraz z epokami, rządami, większością parlamentarną, licho wreszcie wie z czem! Sądownicy są ludźmi ograniczonymi, nieukami, niewolnikami rutyny, są zarazem romantyczni i okrutni, bądź z powodu obojętności, o ile nie są niemi z powodu wrodzonego temperamentu. Są sądownikami — jednem słowem.

Nie mogę zresztą pogodzić się z tem, aby człowiek miał prawo powiedzenia sobie w danym momencie życia: „będę sędzią!“ Przeraża mnie to. Jedno z dwojga bowiem: albo człowiek ten ma świadomość przeraźliwej odpowiedzialności, jaką na siebie bierze, i w takim razie jest potworem; albo też niema tej świadomości, i w takim razie jest głupcem. Głupcy i potwory — oto, kto sądzi nas, od kiedy istnieją trybunały! Przekonacie się, panowie, sami, czy się mylę.

Zabiłem małego pastucha krów w warunkach zrozumiałych, oczywistych, wypływających z konieczności, o których wam opowiem. Przy całem bowiem nieuznawaniu sędziów i odrzucaniu opieki adwokatów, usilujących zmniejszać winy, muszę odtworzyć dla was fakty, które mnie sprowadziły przed wasz sąd. Zabiłem małego pastucha krów, ponieważ było to słuszne, ponieważ było to konieczne. Tymczasem sędzia, któremu powierzono przeprowadzenie śledztwa w mojej sprawie, utrzymywał uparcie, że zabiłem pastucha krów, aby go okraść. Drogą jakiego dziwacznego rozumowania, jakiego opacznego wnioskowania mogła powstać myśl podobna w mózgu tego pana — nie mam pojęcia. Daremnie tłomaczyłem mu niedorzeczność podobnego przypuszczenia; daremnie perswadowałem, że jestem posiadaczem sześćdziesięciu tysięcy franków rocznej renty, że mały pastuch krów nie miał w majątku nic oprócz łachmanów, w które był odziany w chwili, kiedy go zabiłem. Zawziął się, uparł — i trwało to dwa miesiące. Kazał mnie sprowadzać przez żandarmów do swego gabinetu, albo też osobiście odwiedzał mnie w mojej celi. I za każdym razem powtarzał mi, zaokrąglając usta:

— Przyznaj się pan, że zabiłeś go, aby go okraść.

[1]) Ze zbioru nowel, wydanych po śmierci autora, p. t. „La vache tachetée”.

I za każdym razem odpowiadałem zirytowany:

— Ukraść?... co?... Ależ co? co?... co?

A on patrzał mi w oczy niemal błagalnie:

— Przyznaj się pan!... Idzie tu o pańską głowę... Dlaczego nie chce się pan przyznać? Sąd uwzględni pańską szczerość. Przyznaj się więc pan!

Odpowiadałem wówczas:

— Ależ to szaleństwo, szaleństwo, szaleństwo!... Jakże mógłbym go okraść? I co mógłbym mu ukraść?...

W końcu znudzony, doprowadzony do ostateczności, chcąc raz wreszcie położyć kres tym wstrętnym dla mnie odwiedzinom, oznajmiłem pewnego dnia sędziemu:

— A więc... dobrze, przyznaję się... Zabiłem, aby go okraść.. Rozumie pan, aby go okraść... Myślałem, pewny byłem, że mały pastuszek krów ma przy sobie brylanty, złoty zegarek, portfel wypchany biletami bankowymi, akcjami dróg żelaznych, walorami...

Sędzia przerwał mi, mówiąc tonem uprzejmym:

— Zeznanie pańskie wystarcza mi.

Poczem, zwracając się do pisarza, który wiercił palcem w uszach, a potem uporczywie ogryzał paznogcie:

— Pisz pan, — rozkazał... „Przyznaje się, że zabiłem małego pastucha krów celem okradzenia go...“

Nazajutrz dzienniki, które dotychczas z gniewem mówiły o mojej zatwardziałości, wychwalały sędziego za zdumiewającą jego przenikliwość.

Panowie przysięgli, zwracam się do was, jako do ludzi o duszach prostych, nieskażonych, do was, którzy nie byliście chowani w ciemnych korytarzach więzień, ani w mrocznych zakamarkach pałaców sprawiedliwości.

Opowiem wam prosto, bez frazesów, szczerze, w jaki sposób zabiłem małego pastucha krów, a wy osądzicie mnie potem wedle czynu mojego i wedle waszego sumienia.

Ale jeszcze słów parę.

Znajdą się niewątpliwie ludzie uczciwi, wielcy obrońcy autorytetu władzy i jej symbolów, niewzruszeni wyznawcy hierarchji społecznych, których wprawi w zdumienie fakt, że wysoki urzędnik sądowy występuje otwarcie w obronie istoty tak nieskończenie maluczkiej, jaką był mały pastuch krów, przeciwko człowiekowi bogatemu, zajmującemu wysokie stanowisko w świecie, słowem przeciwko człowiekowi takiemu, jak ja. Z niezwykłego tego faktu wywnioskują oni napewno, że wina moja musi być potrójną conajmniej. Powiem im tylko, że jestem autorem książki pod tytułem: „*Reforma sądowa*“, w której, w imię moralności, w imię filozofji, w imię ludzkości, protestuję przeciwko potwornej władzy, oddanej bez kontroli, bez prawa w obojętne ręce sędziów. Wybacza się podłość ludziom mojego pokroju; zamyka się oczy na ich zbrodnię... Ale tu, rozumiecie panowie?... tu idzie o... stryczek!

* * *

Opowieść moja będzie krótka.

Posiadłość moja otoczona jest szerokimi rowami i okolona płotem. Celem uniemożliwienia napadów nocnych słupy, podtrzymujące płot, zaopatrzone są od góry do dołu w kolczaste druty, które je oplątują wielokrotnie, szczerząc kolce na wszystkie strony, pod ukryciem gęstego listowia dzikiego wina, bluszczu i chmielu... Pewnego rana, dochodząc do płotu, usłyszałem żałosne, przeciągłe miauczenie i zbliżywszy się, usłyszałem, wbitą za łapkę na jeden z kolców, malutką kocinę o rudem w czarne pręgi owłosieniu. Biedactwo musiało pozostawać w tej pozycji już od dawna, gdyż na liściach znalazłem przyschnięte i czarne już kałuże krwi. Łapka, przebita przez kolec, złamana była w dwóch miejscach, a zdarta na dość dużej przestrzeni skóra obnażała mięso uda. Zdjąłem kota, w którym poznałem własność jednego z mieszkających w pobliżu wieśniaków. Litość brała na widok cierpień biednego stworzenia. Byłem poruszony do żywego, zupełnie jak w obec cierpienia ludzkiego. Zrazu zamierzałem dobić kociaka, w obec tego jednak, że nie był moją własnością, zaniosłem go do jego pana.

— A, to łajdak... a to łajdak! — zawołał... To napewno ten mały pastuch krów... Nikt inny... On jeden lubi takie zabawki... Dręczyć zwierzęta... to cała przyjemność tego smarkacza. Nie wie już sam, co ma wymyśleć!...

— Nic już nie będzie z waszego kota — rzekłem... Po co ma się męczyć nadaremnie... Lepiej byłoby go dobić...

— Ma pan rację! Lepiej będzie go zabić.

Wracając do domu, zobaczyłem małego pastucha krów, opartego o drzewo i patrzącego na mnie z podełba z jakąś dziwnie drwiącą miną. Pogwizdywał jakąś łobuzowską zwrotkę i udawał bardzo zajętego struganiem biczyska z świeżo obciętej gałęzi kasztana. Nie skłonił nawet głowy na przywitanie. Dnia tego spotykałem go nieustannie na mej drodze. Jego przebiegła, okrutna twarz wychylała się nagle z za węgła jakiejś chaty przydrożnej, wysuwała się z gęstwiny drzew w lesie lub z poza pnia w alei. Nie mogłem zrobić dwudziestu kroków, żeby nie zobaczyć jej przed sobą, sarkastycznej, drażniącej, przeraźliwej. Wieczorem śpiewał, krążąc późno w noc dokoła domu, darł się na całe gardło, podrzeźniając sowy i wrony. Doszedłszy do okna, miałem wrażenie—może była to halucynacja—że dostrzegam oczy jego, świecące w ciemnościach, na wierzchołku wielkiego drzewa bukowego.

W ośm dni później przechadzałem się po polu, idąc wzdłuż żywopłotu z grabiny i młodych drzew kasztanowych, wśród których gęsto krzewiły się kępy jarzyn. Nagle wśród gęstwiny splątanych liści ujrzałem małego pastucha krów. Dwie tłuste krowy gryzły młode liście; odgłos mlaskania ich potężnych szczęk i grubych języków zagłuszył szelest moich kroków, tak że chłopak nie słyszał mojego nadejścia. Obserwowałem go przez chwilę. I doprawdy zdjął mnie strach, dreszcz wstrząsnął mną całym. Przykucnąwszy wśród liści i krzewów jerzynowych, bawi się ten potwór znęcaniem nad nieszczęsnym kociakiem, którego zdjąłem ze słupa moich sztachet i o którym sądziłem, że został dobity przez jego pana. Wbijał mu ciernie w ślepia, rozdzierał świeże rany jego uda przez rozcieranie ich ostrym kamykiem; i wreszcie ścisnął kota za grdykę i potrząsł nim w powietrzu, wyjąc w przystępie dzikiej jakiejś radości. Widać było, że torturowanie biednego stworzenia sprawia mu potworną rozkosz; wyczytać to można było z jego oczu, rozpalonych ponurym błyskiem, rzucających przeraźliwe spojrzenia mordercy. O, te oczy! czy będę mógł zapomnieć kiedykolwiek ich wyraz złowrogi? te oczy nie do określenia, mające barwę i kształt uderzenia noża!... Zdjął mnie gniew straszliwy; jednym skokiem byłem przy nim w zaroślach.

— Co tu robisz, szubrawcze?—zawołałem.

Napaść moja nie zdziwiła go zbytnio. Nie odpowiedział nic.

— Wstań!— rozkazałem.

Nie poruszył się.

— Wstań, powiadam!

Ani słowa, ani ruchu. Nic oprócz oczu jego złowróżbnych wpijających się we wnie, przenikających mnie niby ostrze sztyletu.

Doprowadzony do wściekłości, rzuciłem się na niego i konwulsyjnie zaciśniętemi pięściami zmiażdżyłem mu gardło.

— Zbrodniarzu! zbrodniarzu! zbrodniarzu! — wołałem. Usiłował zrazu walczyć, rozdzierając moje ramię ostremi swojemi paznogciami. Stopniowo jednak wyprężone członki jego zaczęły słabnąć, kilka jeszcze kurczowych drgnień, poczem ręce jego opadły bezwładnie wzdłuż ciała. Widząc, że porusza się jeszcze na trawie, na której go ułożyłem, dobiłem go uderzeniem buta o czaszkę.

Oto wszystko.

Tłom. *R. C.*

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Jubileusz Moliera. „Komedja Francuska" sposobi się do uroczystego obchodu trzechsetnej rocznicy chrztu Moliera. Dzień narodzin Jana Baptysty Poquelin'a nie jest dotychczas ustalony. W ciągu stycznia Komedja wystawi 26 sztuk Molière'a, czyli tylko pięć utworów, z całego dorobku literackiego genjalnego komedjopisarza nie będzie odegranych a mianowicie: „*Don Garcia de Navarre*", tragedja, która odrazu, na pierwszem przedstawieniu padła a z której kilka scen wlączył następnie autor do „Mizantropa"; opera „*Psyche*", napisana wespół z Corneille'm; „*Pastorale comique*", z której pozostały jedynie fragmenty; „*Les amants magnifiques*" i „*Mélicerte*"; utwory miernej wartości.

P. Fabre, dyrektor Komedji, powierzył reżyserję widowisk jubileuszowych p. Jerzemu Berr, znakomitemu aktorowi, doskonałemu odtwórcy wielu postaci molierowskich.

Oprócz tych uroczystości scenicznych urządzona została wystawa relikwji i wizerunków Molière'a w nowej bibljotece w Palais Royal, sąsiadującej z gmachem Komedji. Rząd oddał ten budynek na pomieszczenie zbiorów Rondela, obejmujących książki i dokumenty teatralne, przekazane testamentem Komedji Francuskiej. Nadto projektowane są konferencje o Molierze, które mają być wygłoszone w Sorbonie przez autorów obcych, jak: Kipling, Maeterlinck, Ferrero i D'Annunzio.

Mercela Tinayre. „*Les lampes voilées*". „Bywają dusze, podobne do lamp złocistych, przedziwnie jasnych i błyszczących. Ale zarzucono na nie potrójną zasłonę: świat dostrzega zaledwie przyćmione promieniowanie... Światło się pali i zgaśnie, zanim ktokolwiek uchyli zasłony".

Jedną z takich „lamp zasłoniętych" jest panna Laura de Préchanteau, która poświęca się kształceniu dzieci w sanatorjum. Dobiegła lat trzydziestu, gdy zjawia się mężczyzna, który omal „zasłony nie uchylił". Dominik Pellegrin, humanista i poeta, przybył z Toskanji a Laura „wprawiła go w zdumienie, zaintrygowała i w końcu zajął się nią gorąco". Ale wytworny staruszek, uchodzący za oryginała, nie ożenił się, albowiem, gdy spotkał tą, „którą los stworzył na podobieństwo jego ideału" — miała ona już lat siedemdziesiąt, on zaś dwadzieścia. Więc spędził życie samotnie, lecz nie czuł się nieszczęśliwy, albowiem: „Co znaczy zasłona na lampie, byleby światło w niej paliło się i jaśniało? Nieszczęśliwe są tylko dusze zagasłe i te, które się nigdy nie zapaliły".

Gabrjel D'Annunzio. „*Notturno*". Nigdy może autor nie pisał dzieła w takich warunkach, w jakich tworzył D'Annunzio swoją nową książkę, która ukazała się niedawno na półkach księgarskich w Medjolanie. Zraniony ciężko w prawe oko w jednej ze swych samolotnych wycieczek podczas wojny, tygodnie całe spędził w łóżku, bez ruchu, w zupełnej ciemności, by uratować zdrowe oko. Otoczony mrokiem usiłował jednak pisać na paskach papieru, przytwierdzonych, jeden pod drugim do tablicy, którą trzymał na kolanach — po omacku kreślił ołówkiem na każdym pasku jeden wiersz. W maju i czerwca r. 1916 paski zostały odcyfrowane, przepisane przez córkę poety i zaczęto książkę drukować. Ale D'Annunzio, skoro tylko odzyskał zdrowie, rzucił się ponownie w wir wojny, poczem nastąpił żałosny epizod w Fiume. Dopiero w ostatnich miesiącach ubiegłego roku w zaciszu Gardone na Rivierze dopełnił poeta „*Notturno*" i oddał do druku.

Po pięciu latach zupełnego milczenia odzywa się D'Annunzio w tej książce długim szeregiem, pisanych prozą liryczną, utworów. Są to raczej rozmyślania i wizje, przerywane, dla kontrastu, śmielszemi, żywszemi opowieściami objektywnemi, jak np. opis pogrzebu bohaterskiego lotnika Miraglia; wspomnienia z dni majowych r. 1915, kiedy Włochy przyłączyły się do wojny; akcja floty na Adrjatyku; pobyt w rodzinnem mieście i pożegnanie z matką. W tych utworach wszakże nie daje nam poeta nic nowego — jest w nich doskonałość wyrażeń, świetność stylu, barwa i brawura, do których nas oddawna przyzwyczaił. Nowy D'Annunzio ujawnia się czytelnikowi w szkicach prozą liryczną pisanych, z którymi równać się mogą tylko najpiękniejsze jego poezje. „*Notturno*" jest wyrazem zapatrzonego w siebie wizjonera; rzeczy, których chory wzrok poety nie mógł już dostrzedz, snują się w jego wyobraźni. D'Annunzio stworzył nowe arcydzieło stylu i języka.

Stephan Graham. „Europe — whither bound?" Autor zebrał wrażenia z wycieczki po Europie. Wędrował ze stolicy do stolicy przez rok cały, patrząc przez magiczne szkła swego temperamentu, temperamentu poety i mistyka. Najwybitniej ujawnia się to w rozdziałach o Konstantynopolu. Melancholja i tajemniczość tej wielkiej zagadki śród stolic świata z natury rzeczy, najsilniej oddziałały na autora, tego, co p. Graham pokroju. Zajął go też żywo los uchodźców rosyjskich, przebywającyeh w stolicy Turcji. „Rosjanie dostali się nareszcie do Konstantynopola. Co za ironja losu! Są ich tam setki tysięcy i to z najlepszych warstw społeczeństwa; pozbawieni wszelkich środków materjalnych, pozakładali restauracje, w których panie z arystokracji rosyjskiej usługują; wielu Rosjan sprzedaje też towary na ulicach".

Dowcipny, a niezbyt pocieszający obraz przeszkód, jakie podróżnik spotyka w Europie powojennej, kreśli autor z niemałą ironją. Opisuje utrudnienia pasportowe, nie zawsze, coprawda, jednakowej natury. Tak np. w biurze pasportowem Koalicji w Konstantynopolu, straciwszy cierpliwość po długiem czekaniu na podpis danego urzędnika—wszedł do jego gabinetu i zastał go — całującego tkliwie przystojną brunetkę. Urzędnik szybko i w milczeniu położył swój podpis a p. Graham również szybko wyszedł.

Nowy „układ" narodowościowy w Europie nie znalazł w p. Grahamie zbyt gorącego zwolennika. Nie bez pewnej złośliwości opowiada, że „na Ellis Island pewien ponury jegomość z Górnego Śląska, zapytany o swoją narodowość, odpowiedział: „Plebiscyt".

„Hass". Antwort deutscher Dichter auf Versailles. W tym zbiorze wierszy i prozy szereg autorów niemieckich — R. Presber, J. A. Lux, P. Keller, H. Eschelbach, Börries bar. Münchhausen, V. Ernst, P. Langenscheidt, A. Straschimiroff, L. Schrickel, L. Finckh, E. G. Seeliger, W. Jansen, E. Felden, G. Hirschfeld, B. Wille i Reinhold Eichacker — występują zaciekle przeciw traktatowi wersalskiemu. Myślą przewodnia wszystkich, objętych książką, utworów jest wykazanie, że Niemcy nie były bynajmniej tak doszczętnie pobite, żeby miały zasłużyć na los zwyciężonych, „nie chciały" też ani „projektowały" wojny. Jakkolwiek powszechnie „znienawidzone, nienawiść była im obcą", ale „dzisiaj nienawidzą i Niemcy" a „nienawidzą nienawiść". Tak głosi przedmowa, ale utwory w książce wykazują jasno, że Niemcy nienawidzą oprócz nienawiści, różne narody, zwłaszcza zaś Francuzów. Jeden z autorów zwraca się do nich z listem otwartym, w którym objaśnia, że Anglja jest oszalałym lwem, Francja zaś — daleko bezecniejszą zarazą i dodaje: „z lwami, bądź co bądź, żyć można, ale nie z wszami".

Z tych wyjątków nie trudno wywnioskować jaki jest ton i charakter książki, w której nadto żaden utwór nie odznacza się wybitniejszym talentem.

STANISŁAW KOZŁOWSKI.

(*Wspomnienie pozgonne*).

W Nałęczowie zmarł ś p. Stanisław Kozłowski, jeden z najpopularniejszych współczesnych autorów dramatycznych w Polsce. W szranki literatury dramatycznej wszedł Kozłowski w r. 1885 jako laurent konkursu im. Bogusławskiego, na którym otrzymał pierwszą nagrodę za dramat historyczny „Albert, wójt krakowski". Dramat ten zjawił się w epoce zupełnego wyjałowienia oryginalnego repertuaru, zyskał więc nadmierne uznanie u krytyki, olśnionej nawet wierszem utworu, który porównywano z wierszem Słowackiego. „Albert", chociaż nie najlepszy z utworów Kozłowskiego, pokazał odrazu jego środki artystyczne, które później zostały rozwijane z wielką sprawnością i zrozumieniem potrzeb scenicznych. Kozłowski zwracał zawsze najbaczniejszą uwagę na wybór tematu, starając się o malowniczą bajkę i pozostawiając na drugim planie rozwój charakterów. Chętnie używał wiersza, zazwyczaj dość gładkiego, ale pozbawionego głębszych momentów twórczych. Po tematy zwracał się do historji polskiej, w której umiał wynajdywać anegdoty barwne, przykuwające uwagę przeciętnego widza. W rok po „Albercie" ukazała się „Esterka", która, jak inne sztuki Kozłowskiego, grywana była z wielkiem powodzeniem na wszystkich scenach polskich. Kiedy niekiedy Kozłowski zwracał się i do historji obcej: w Rozmaitościach wystawił dramat z czasów Odrodzenia włoskiego p. t. „Turniej" oraz tragedję osnutą na tle wojen husyckich p. t. „Taboryci". Po tych utworach wrócił znowu do tematów rodzinnych: ukazywały się kolejno, w przerwach rocznych lub dwuletnich, komedje historyczne: „Dyana", „Reduta", „Pod Okrętem", „Ewa Frank", „Komandor". Wszystkie te sztuki zyskały wielkie powodzenie, bawiąc widzów bajką, doborem niezwykłych sytuacji, jaskrawością intrygi. Z mniej dodatnim wynikiem dotykał Kozłowski na scenie tematów społecznych lub tematów współczesnych („Symbolista", „Luminarz", „Pochodnia" i t. p.). Chociaż posiadały one dobrą umiejętność efektów scenicznych, zbywało im na pogłębieniu charakterów i zagadnień. Twórczość dramatyczna Kozłowskiego nie była należycie ocenioną. Krytyka stawiała mu najczęściej zarzuty negatywne, to jest podkreślała nadmiernie jego braki. Pytano wciąż, dla czego nie rozpina szerzej skrzydeł, dla czego nie bierze górniejszego lotu. Nieporozumienie wynikło z niewłaściwej miary sądu. Kozłowski z natury swego talentu, był zupełnie szczerym autorem popularnym. Podtrzymywał na scenie tradycję teatru kostjumowego, a chociaż nie tworzył w tym kierunku arcydzieł, zdołał przyciągać do teatru publiczność w epoce, gdy tylko mieszczańskie sztuki francuskie zajmowały publiczność warszawską. Sztuki jego posiadały cztery niezbędne warunki powodzenia u tłumów teatralnych: malowniczość sytuacji, bohaterskie postawy, gładki, łatwy i potoczysty wiersz, uszlachetniający, wyrazy proste i grube, wreszcie t. zw. „zdrową tendencję". Melodramat bywał w połowie idealistyczny, w połowie zaś—realistyczny. Brak obserwacji w rysunku duchowym postaci pokrywała skrupulatna dokładność dekoracji. Pedagogja malarska przysłoniła nieco pedagogję moralną, ale widz, nieprzyzwyczajony do myślenia, lubi takie kombinacje.

Po wojnie, śród nowych warunków życia i nowych wymogów teatralnych, Kozłowski uczuł się osamotniony. Ostatnia jego sztuka „Trybun" wywołała gwałtowne i niekulturalne protesty niektórych młodych pisarzy. Kozłowski, który w sztuce tej nie odbiegł od zwykłej swej metody pisarskiej, nie mógł zrozumieć racji napaści, jakich się stał przedmiotem. Rozgoryczał się coraz więcej, a prawa jego natura nie mogła nagiąć się do atmosfery, jaka zapanowała w pierwszych latach Polski niepodległej. Wpadł w rozstrój nerwowy, który skrócił jego pracowity, w walce życiowej sterany żywot.

Cześć pamięci zacnego człowieka i pisarza, który w zakresie swych uzdolnień spełniał ze szczerym zapałem swe zadanie. *J.*

Bolesław Śmiały.

(*Z Filharmonji*)

Ze świata legendy polskiej wypływa ku nam postać Bolesława Śmiałego, genjalnie muzycznie usymbolizowana przez Ludomira Różyckiego, niby grecki posąg o nieskazitelnie czystych linjach. Z podziwem słuchamy głosów z odległej a drogiej nam przeszłości, wyczuwamy wydarzenia, któremi osnute są wspomnienia wielkiego króla, a którego niczem niezwalczona potężna siła duchowa jakby na orlich skrzydlach przelatuje czas i przestrzeń, aby w całej swej wielkiej samotności nanowo odżyć w poezji Wyspiańskiego i w muzyce Ludomira Różyckiego.

Pełne mistycznego skupienia Andante, podjęte w pierwszym temacie tubą, przenosi nas do wnętrza kościoła, gdzie biskup Stanisław odprawia mszę świętą. U wrót kościoła stoi król z orszakiem pełen uczucia zemsty, bólu, buntu za rzuconą nań klątwę. Biskup podnosi rękę i chce przeżegnać naród cały... może cudem nie zauważy króla. Ręka opada, burzy się krew Bolesława... z mieczem rzuca się na biskupa i tu niby błyskawica wysnuwa się z tematu drugiego temat trzeci Allegro Furioso. Zabity... uczucie zemsty zaspokojone. Namiętne dumy zapełniają duszę Bolesławową. Wypływa nowy temat muzyczny, w którym trąby, waltornie i puzony łączą się z tematem trzecim (instrumenty drewniane i smyczkowe) i z tematem pierwszym (tuby). Ciemne noce... zabobonny naród śpiewa nabożne pieśni na grobie zabitego biskupa — straszliwe widmo nie daje spokoju królowi. Raz jeszcze wywalczyć sobie prawo. Ogniem i mieczem zdobyć z powrotem koronę!!! Zapóźno... Groźnemu orłowi skrzydła opadły. Żegna kraj swój nazawsze. I tematem szóstym (angielski rożek), jakby nierozwiązanym akordem, kończy się tragedja wielkiego króla.

Muzyka Różyckiego, ten kwiat słowiańskiej duchowości, nic nie wyjaśnia, nic nie analizuje, daje nam tylko bezpośredni szereg wrażeń, pod wpływem których dusza nasza rozrasta się w bezkresy. Arcydzieła polskie w rodzaju Bolesława Śmiałego powinny być częściej wykonywane w Filharmonji.

Ewa Serednicka-Oleszkowska.

O Kierunkach w muzyce.

Kierunków w sztuce, a więc i muzyce niema, albowiem „sztuka jest objawieniem duszy we wszystkich jej stanach, śledzi ją na wszystkich drogach, wybiega za nią w wieczność i wszechprzestrzeń, wgłębia się z nią w praiły bytu i sięga w tęczowe szczyty. Sztuka nie ma żadnego celu, jest celem sama w sobie, jest absolutem, bo jest odbiciem absolutu: — duszy.

A ponieważ jest absolutem, więc nie może być ujętą w żadne karby, nie może być na usługach jakiejkolwiek idei, jest panią, źródłem, z którego całe życie się wyłoniło. Sztuka stoi nad życiem, wnika w istotę rzeczy, czyta zwykłemu człowiekowi ukryte runy, nie zna ni granic, ni praw, zna tylko jedną odwieczną ciągłość i potęgę bytu duszy, kojarzy duszę człowieka z duszą wszechnatury, a duszę jednostki uważa za przejaw tamtej". (Przybyszewski).

To, co nazywamy kierunkiem, jest to częstokroć nieuświadomlenie krytyki muzycznej, która nie umie sięgać do głębi twórczej indywidualności każdego poszczególnego twórcy, nie umie sobie stworzyć obrazu całokształtu twórczej fizjognomji, nie umie skrystalizować odrębności, czyli stylu duszy twórczej, posługując się przyjętemi komunałam i utartą frazeologją, narzucając artystom recepty, jak trzeba tworzyć. Publiczność, dla których muzyka, a głównie formy muzyczne są tajemniczą nauką magów — częstokroć poddaje się wpływom tych „wielkich wtajemniczonych", a właściwie „małych", którym wybaczyć należy, albowiem nie wiedzą, co czynią. To operowanie frazeologją muzyczną wprowadza do pojęć zamęt, który przeszkadza w wytworzeniu kontaktu między twórcą a publicznością. Dowodem, że historja literatury muzycznej prawie, że nie posiada krytyków, którzyby we właściwym czasie umieli ocenić danego kompozytora. Dość przypomnieć rolę Hanslicka do Wagnera, dość przypomnieć trudności, z jakiemi walczył Berlioz i Liszt. Dość wspomnieć martyrologję młodo-polskiej muzyki, zmuszonej do pobytu za granicą i dotychczasowe stanowisko większego odłamu muzycznej polskiej krytyki wobec takich potentatów muzycznych, jakimi są Różycki i Szymanowski. Jedynie prof. Chybiński i dr. Jachimecki walczyli ideowo o wprowadzenie u nas młodo-polskiej muzyki. Zupełnie odrębne indywidualności twórców naszych stały się wdzięcznem polem do szermierki naszej codziennej krytyki, która dąży do stworzenia u nas w Polsce zwalczających się dwóch kierunków. *To, co krytyka muzyczna podkreśla jako kierunek, jest to odrębność wysławiania się muzycznego twórców.* Różyckiemu zarzucają niedość skomplikowaną architektonikę muzyczną. Chcianoby bezkresowość jego poetycznego rozmachu, intensywność jego rysunku melodyjnego, a głównie sensacyjny koloryt orkiestrowy wtłoczyć w formy Fugi, lub warjacji. Wszak Chopin nie napisał ani jednej Fugi, a chyba w genjalność Chopina nikt chyba nie wątpi. To samo dałoby się powiedzieć o koncercie Rożyckiego, gdyż ten obraz o świetnych barwach chcianoby wtłoczyć w jakieś ciasne ogólnie przyjęte formy. Zadziwiające, że muzykę Różyckiego, o której sławny Chopinista Hugo Leichtentriff pisze: Takiej muzyki, nie zapomina się nigdy. Dźwięk pełen pieszczoty, przepojony gorącą, wezbraną uczuciem melodją, muzyka tak dojrzałej piękności jest jakby symbolem szlachetności duszy Różyckiego. Jego muzyka, to połączenie słowiańskiej melancholji, polskiego ognia z wytwornością francuskiej techniki. Tęskne nonny Cezara Franka, ekstatyczne dźwięki Debussy'ego, zarzucone cudownym, gorąco-płomiennym płaszczem na pełną tęsknoty ekstatyczną jego polskość, chcianoby w Polsce przerobić w imię jakiegoś kierunku.

Takie same stanowisko, tylko znowu z innego punktu widzenia zajmuje krytyka w stosunku do Szymanowskiego, tego nieporównanego mistrza formy. Skomplikowana, pełna tajemniczości psychika Szymanowskiego znajduje swój wyraz, w przeciwieństwie do Różyckiego, w niesłychanie misternym, niemal koronkowym rysunku architektonicznym. Niedawno wykonaną we Wrocławiu sonatę Szymanowskiego na popisie uczniów prof. Poźniaka krytyka niemiecka przyjęła jako dzieło tytaniczne. Nasza krytyka zarzuca mu zbyt skomplikowaną konstrukcję. Czyż można przeciwstawić Chopinowi—Bacha, lub zarzucić Wyspiańskiemu, żo nie przemawia do nas językiem Mickiewicza lub Norwida?

Powracając do kompozytorów typu Różyckiego, czyż upojny liryzm Moniuszkowski, lub pełen prostoty walczyk Chopina nie jest sztuką, albowiem natchnienie tych twórców znalazło swój wyraz w mniej skomplikowanej formie? Zrozumiałem jest, że każdej psychice odpowiada mniej lub więcej pokrewny psychicznie utwór, a więc i ten a nie inny twórca. Ale to nie znaczy, że to, co nie jest nam pokrewne, albo zrozumiałe, już nic nie warte! Trzeba się umieć wznosić do dzieł sztuki, a nie ściągać ją z piedestału jej wyżyn i naginać ją do wymagań poszczególnych jednostek. Niezależnie od smutnej roli krytyki, która w rozwoju naszej muzyki nie tylko, że nie dopomaga, ale przeszkadza, wysuwając w swych licznych omówieniach na pierwszy plan twardość lub miękkość uderzenia, złą, lub dobrą emisję głosu, zachwyty ciągnące się w długich feljetonach nad tysiącznem wykonaniem koncertu Brahmsa, lub Czajkowskiego, krytyka nie rozumie swego posłannictwa pioniera sztuki, a cała jest oddana na usługi drobnemu szablonowi reporterskiego stereotypowego robienia sztuki, *a nie istotnego rozumienia, wyczuwania i analizowania dzieł twórczych.*

„Każdy rok obdarza nas nowym, niebywałym kierunkiem i z każdym piątym rokiem konstatują krytycy, że teraz właśnie wzeszła nowa wiosna sztuki. Sztuka nie ma nic wspólnego z nowemi prądami, nowemi kierunkami, nie jest ani starą, ani nową, jest poprostu sztuką: życiem, namiętnością, szałem, głębią, modlitwą, jest objawieniem duszy".

Sas.

WIADOMOŚCI O POLSCE.

Znana paryska księgarnia Hachette'a wydała kalendarz na 1922 r. pod szumnym tytułem: „Almanach Hachette. Petite encyclopédie populaire de la vie pratique". A więc nawet encyklopedja, przystosowana do życia codziennego! Znajduje się w niej rozdział, poświęcony obrazkowemu przedstawieniu „szefów państw" całego świata wraz z treściwemi objaśnieniami. Na str. 169 zamieszczono drobną podobiznę Piłsudzkiego, a obok niej prostokątną ramkę, wypełnioną we wnętrzu uwagą: brak portretu. Podpis zaś pod osobliwą geometryczną figurą brzmi: Monsieur Mlos! Rzeczą jest pana Wincentego Wi-

tosa zastrzedz sobie zmieniania jego nazwiska, spopularyzowanego w kraju. Sylwetkę-cynkotyp naczelnika państwa i sylwetkę-próżnię łączy herb Polski, widocznie specjalnie spreparowany z jakąś cudaczną galerją nad orłem. Potem komentarz: „tymczasowa monarchja konstytucyjna"... (Monarchie constitutionelle provisoire). Ale co jest prowizorycznem? Czy forma monarchiczna, czy monarchja, czy konstytucja?... Bóg raczy wiedzieć... Według oznaczenia światłych współpracowników światłego p. Hachette'a sam marszałek Piłsudzki musiałby się zastanowić, czy jest republikańskim szefem państwa, czy koronowanym władcą, chociaż czasowym... Artykulik pod ryciną informuje, że Polska liczy 251,653 km. kw. i dokładnie 23,796,892 mieszkańców! Trzebaby znowu dowiedzieć się w dobrze zorjentowanej redakcji, czy szła za linją Curzona lub inną! Czytelnik pouczającego i przenikliwego almanacha dowie się także, że polskim posłem nadzwyczajnym i ministrem upełnomocnionym nad Sekwaną jest „Monsieur Ławoyski", coś jakby okaleczony towarzysz pana Milosa... I nie przytaczalibyśmy wszelkich dziwów w długiej oprawie, gdyby nie pewne rozważania: W określaniu Czecho-Słowacji użyli paryscy wydawcy nazwy „Rzeczpospolita demokratyczna" i dodali wzmiankę: „potęga cenna dla polityki koalicji"... Natomiast sucha notatka o Polsce, wykoszlawiona, upstrzona błędami, wołającymi o pomstę do nieba, świadczy niezbicie o ciemnej, przysłowiowej ignorancji niektórych warstw francuskich. Ignorancja sięga tak daleko, że miesza pojęcia z czasów Rady Regencyjnej z dzisiejszym stanem rzeczy, stworzonym w znacznej części przez samych Francuzów. Niezawodnie, Koła polityczne, parlamentarzyści, doskonale uświadamiają sobie położenie, znają nasz ustrój i nasze wysiłki, natomiast szeroki ogół grzęźnie w mrokach i patrzy na Polskę, jak na seraj z okolic antarktydy. Ponieważ jedynym pomostem współżycia narodów jest dobra, uczciwa informacja i trafianie od społeczeństwa do społeczeństwa a przez nie do rządów, więc nasuwa się pytanie skromne, czy Hachettowskie łamigłówki nie są dostatecznem wskazaniem, abyśmy pomyśleli o wciągnięciu ludu francuskiego w orbitę jawnych tajemnic, osłaniających Polskę. Dopóki to nie stanie się będzie myślał owerniak, normandczyk lub inny prowincjał, a nawet mieszczuch z stolicy, z Montmartre czy bulwarów Saint Germain, gdzie p. Hachette puszcza w świat objawienia dla pouczania swoich ziomków, że u nas po ulicach chodzą niedźwiedzie, a Polska w przeciwstawieniu do Czech jest krajem feudałów i średniowiecznych biczowników. Nie pomogą żadne informacje biur rządowych, tylko praca naszego świata naukowego, oparta o zasiłki państwa i wydawnictwa popularne, przeznaczone dla zagranicy.

W. Koszyc.

Czasopisma.

Czasopismo prawnicze i ekonomiczne. № 7—8, rocznika XI, zawiera następującą treść: Artykuł wstępny *prof. Zolla* p. t. Napoleon jako ustawodawca. Protokóły obrad Sekcji prawa cywilnego Komisji Kodyfikacyjnej. *Prawo autorskie, prof. Górskiego* dwa projekty ustawodawcze, a to prawa handlowego osobowego i o domach składowych, *prof. Bossowskiego* rozstrząsania w kwestji najmu i dzierżawy. Artykuły te zapoznają nas z najbardziej aktualnemi zagadnieniami z dziedziny prac nad kodyfikacją jednolitego prawa polskiego na tle współczesnego stanu nauki prawa, a dzięki swej fachowości i wysokiemu poziomowi kładą trwałe podwaliny pod nasze prawodawstwo.

Dział głosów, ze świata prawniczego przynosi krytyczne uwagi *adw. Skąpskiego* do opublikowanego przez Wydział karny Komisji Kodyfikacyjnej projektu ustawy o sądach dla nieletnich. W dziale recenzji przedstawia *dr. Bautro* najnowsze prace uczonych włoskich z zakresu filozofji prawa, a *prof. Reinhold* omawia świeżo wydany System prawa karnego *prof. Krzymuskiego.*

Książki nadesłane do redakcji.

J. F. Hekker. „Ogniska kulturalne w życiu nowoczesnem". Bibljoteka Y. M. C. A. Nr. 11. Wydanie drugie. Nakładem Y. M. C. A. Str. 240. Warszawa, 1922.

„Walka z alkoholizmem". Rocznik społeczno-naukowy pod red. *Jana Szymańskiego.* Skład główny w księgarniach Gebethnera i Wolffa.

„Słowo niezależne". Pismo młodzieży. Rok II. № 1.

„Przegląd Warszawski" Nr. 3. Grudzień.

Oskar Wilde. „Nowele". Przekład R. Centnerszwerowej. Nakładem Spółki Wydawniczej „Vita nuova". Str. 156. Warszawa, 1922.

Pierre Mille. „Święta Kurtyzana". Powieść. Przełożył i wstępem opatrzył Kazimierz Bukowski. Nakł. Spółki Wyd. „Vita nuova". Str. 180. Warszawa, 1922.

Wydawnictwa Krakowskiej Spółki Wydawniczej.
Bibljoteka Narodowa. Serja II.

Aischylosa Prometeusz Skowany, w opracowaniu prof. *Stanisława Witkowskiego.* Str. 155.

Williama Szekspira Makbet w opracowaniu *Andrzeja Tretiaka.* Str. XXI + 106.

Williama Szekspira Burza w opracowaniu *Andrzeja Tretiaka.* Str. 174.

Williama Szekspira Antoniusz i Kleopatra w opracowaniu *Władysława Tarnowskiego.* Str. 212.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.
Prenumerata „Tygodnia Polskiego" wynosi **kwartalnie 900 mk., miesięcznie 300 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedyńczego numeru **80 mk.**
Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.
Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch", Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE" Redaktor: Leon Kozłowski.

SPÓŁKA AKCYJNA WYDAWNICZO-DRUKARSKA „PRACA", KREDYTOWA 2/4. TELEFON 60-70.